Nr. 21. Kraków, dnia 22 maja 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Obrona narodowa.

Z powodu powstania w zaborze pruskim Związku Narodowego wypłynęła w prasie naszej i w naszych rozważaniach kwestya organizacyi o podkładzie ogólno-narodowym.

Związek Narodowy w Poznaniu, jego powstanie i cele, mają charakter specyficzny: oto żywioły konserwatywne w Księstwie, nie chcąc przybierać charakteru partyjnego, a pragnąc silnie oddziaływać na ogół tuszą, że uda się im to składniej pod hasłami ogólno-narodowemi.

W zaborze austryackim sprawa ta nabiera innego zabarwienia. Owóż u nas kwestya jest rozstrzygnięta. Bujnie rozwinięte życie stronnictw, walki i zmagania codzienne nakładają na nie obowiązek stworzenia organizacyi powszechnych; zadaniem ich obok decydowania przy wyborach w okręgach pod względem narodowym zagrożonych jużto przez syonistów lub Rusinów, byłaby stała i ciągła obrona spraw polskich.

Zaczątki tej pracy mieliśmy. Rada Narodowa, pomijamy jej stanowisko przy wyborach, ma ogromną wobec narodu zasługę przez stworzenie akcyi obronnej w samym kraju i poza nim utworzenie biur prasowo-informacyjnych we Lwowie i Paryżu, szereg publikacyi w języku niemieckim i francuskim — to są sprawy znaczenia doniosłego.

Przypomnijmy, że przed laty czterema opinia publiczna Europy była przeciwko nam. Rosya i Niemcy z jednej strony, Rusini z drugiej wytężyli wszelkie siły, aby nas wśród obcych poniżyć. A dzisiaj dzięki tej właśnie akcyi opinia przechyliła się na naszą stronę.

Najrozmaitsze opracowania francuskie, angielskie i niemieckie, pisane często przez obcych, o Polsce, to już nie dawne prace bersensowne, tendencyjne i fałszywe, ale prace oparte na materyałach pierwszorzędnych i prawdziwych. Kiedy dawniej rzeczy o Polsce odznaczały jednem: klasyczną nieznajomością spraw naszych, to dziś praca np. Bienaime'a o Galicyi i Sejmie galicyjskiem wyprzedza nawet nas, bo opracowana naukowo, oparta na źródłach pierwszorzędnych, gdy my sami żadnej pracy o Sejmie naszym, który w roku przyszłym obchodzi swe pięćdziesięciolecie, nie posiadamy.[1]

Obok konieczności oddziaływania na obcych, jest obowiązkiem organizacyi ogólno-narodowych obrona naszych kresów wschodnich i zachodnich. Niektóre stronnictwa pracę tę prowadzą. Każdy jednak je podejrzywa, że czynią to one dla jakichś celów osobistych i partyjnych; nieraz w tej pracy wybuchają starcia wzajemne, nieuniknione zresztą.

Organizacyi ogólno-narodowej, która skupiałaby partye wszystkie i obejmowałaby reprezentantów społeczeństwa i najpoważniejszych instytucyi publicznych takich zarzutów nie śmiałby stawiać nikt. Miałaby ona za sobą autorytet ogółu, a tem samem akcya jej byłaby bardziej jednolita, systematyczna i twórcza.

Bronić kresów musimy pod grozą katastrofy powszechnej. Praca nasza na kresach wschodnich osłabła, na zachodnich nawała niemiecka jest tak gwałtowna, że zalewa nie tylko Ślązk, ale i wdziera się do Galicyi. Materyały, jakie, Tygodnik Narodowy opublikuje o kwestyi niemieckiej, wskażą, jak wielkie nam stamtąd grozi niebezpieczeństwo. Współdziałanie jest konieczne, a im ono rychlejsze, tem lepiej dla nas, bo większa nadzieja odparcia naporu.

***

Na wolnej ziemi Waszyngtona.

Kiedy przed laty sześćdziesięciu kilkuset Ślązaków zakładało dwie osady rolnicze: „Panna Marya“ i „Częstochowa“ na ziemi Waszyngtona i Lincolna nikt nie przypuszczał, aby tam rozwinęła się „Nowa Polska“.

Ale za garstką Ślązaków ruszyło wielu za Ocean innych. Wojna prusko-francuska sprowadziła głód i nędzę, więc tysiące z Poznańskiego, Prus Zachodnich i Kaszub ruszyło śladami braci, a wnet gorączka emigracyjna wygnała tysiące innych. Z Galicyi, Śląska i Bukowiny, z Królestwa, Litwy i Rusi, ze wszystkich ziem Rzeczypospolitej ciągnęły setki za chlebem i za lepszą dolą.

Wychodźcy osiedlali się nie tylko na roli W ośrodkach przemysłowych osiedlali się emigranci, a stany amerykańskie, jak Chicago, Nowy Jork, Buffalo, Milwauke, Detroit, St. Louis, Pittsburg, Filadelfia, Baltimore, St. Francisco zasiały się pracownikami polskimi.

Na emigracyę szły żywioły pełne sił i energii.

W Polsce coraz ciaśniej. Ludności przybywa nieustannie, a coraz mniej warsztatu pracy. Zwłaszcza lud, warstwa społeczna dotąd niezużyta i najwięcej posiadująca sił żywotnych, której za mało roli na używienie, emigruje za chlebem do obcych. Siły co najlepsze nie uchylające się przed walką emigruję — i na obczyźnie dopiero okazują słuszność zdania Kasprowicza, że „jest w ludzie siła niespożyta“.

Na obczyźnie w walce pokojowej a konkurencyjnej wychodzą zwycięsko. Zmuszeni stoczyć walkę z Irlandczykami lub Niemcami, nie ulegają im, ale owszem zatrzymują swoje cechy indywidualne i narodowe. Osady polskie lgną do siebie coraz silniej, a przeszkody jakie konsolidacya natrafia, łamię; wysadza nieprzyjaciół energia chłopa polskiego, nie dając się rozbić na cząstki i rozpłynąć w otoczeniu.

Jakie są powody siły wewnętrznej?

Przedewszystkiem odporność narodowa, zahartowana w kraju, w zmaganiu się o swe dobra z rządami obcymi. To wrodzone poczucie narodowe tam dopiero rozpala się i utrwala.

Potem wiara ludu jest odporna wobec obcych naleciałości. Wiarę ojców chłop identyfikuje z narodowością, nazywa ją polską: w ten sposób wytwarza się bezwiedny, silny, niezwalczony patryotyzm.

Skutkiem tego utworzyły się u Polaków na obczyźnie rozliczne parafie polskie, tysiące stowarzyszeń w rozmaitych celach, związanych jedną ideą ocalenia się w morzu obcych. I chociaż często wybucha wzajemna walka, to jednak na ogół całe postępowanie nacechowane jest głęboką, z krwi płynącą miłością Ojczyzny.

Czemże, jeśli nie tem właśnie, tłómaczyć mamy niezwykłe ofiary, jakie amerykańskie społeczeństwo polskie na rzecz polskości ponosi? Oto dorobkiem rąk polskich wznoszą się tysiące szkół polskich; obok nich krzewią się bujnie szkoły polskie i rozmaite zakłady naukowe; każdy przejaw życia polskiego odbija się echem donośnem; każda akcya narodowa liczyć może na poparcie materyalne obczyzny.

Imponujące ogromem zadań, sprężystością organizacyi, liczbą kilkudziesięciotysięczną członków: Związek Narodowy Polski i Polsko-katolickie Zjednoczenie — to przecie najsilniejsze organizacye polskie.

Światu całemu nowa Polska przypomina się ufundowaniem dwu pomników bohaterów polsko-amerykańskich: Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego. Jest to akt wdzięczności wobec Ameryki, Stanów Zjednoczonych za uznanie Polaków i udzielenie im przytułku, za oficyalne uznanie Polski przy spisie ludności.

Ameryka to rozumie i odczuwa. Prezydent Stanów Zjednoczunych i minister wojny amerykański przemawiają u stóp pomnika, biorą udział w obradach Kongresu Polskiego.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej coraz silniej zaznaczają się w polityce powszechnej. Zdanie ich nieraz już zaważyło na szali wypadków dziejowych. Wystąpienie władz jest zatem objawem kurtuazyi albo zbędnej grzeczności: jest aktem znaczenia pierwszorzędnego. Dowodzi, że z Polską liczą się zawsze, nawet w chwili obecnej, kiedy brak nam własnej organizacyi państwowej. Ale naród ma siłę i energię życiową, ma wiary w własne siły.

My może za mało mamy w sobie dumy narodowej i poczucia sił własnych. Ani Francya ani Ameryka nie interosowałyby się nami tak żywo, gdybyśmy nie przedstawiali siły i wartość. Miejmyżmy sami więcej poczucia sił własnych w naszem życiu codziennem.

J. Rau.

Polski dom — polska rodzina.

Towarzystwo w domu.

Życie towarzyskie z ludźmi, wcale nie powinno być pojmowane jako zabawa. Przeważnie tak o tem sądzimy. Zdaje się nam, iż gdy kilka, kilkanaście osób zbierze się razem, to tylko po to, ażeby się uśmiać dowoli, zażartować, nafiglować, nacieszyć i spędzić czas na zabawie, a nic i nic nie zdobyć w korzyści ducha, serca, myśli i poglądu.

Takie życie towarzyskie, zapewne, bardzo jest nudne i nieśmiertelnie niepożyteczne. Prędzej z piasku posianego na kamieniu, jak lud powiada, kłosy żyta zejdą, niż z takiego życia towarzyskiego będzie korzyść społeczna, etyczna i narodowa. Jeśli ludzie wśród ludzi tego tylko szukają, aby się podobać, drudzy, aby jeść, inni, aby pleść niewiedzieć co, lub sypać żarty zanadto solone, to nic dziwnego, iż w życiu ludzi znać pustkę, czczość i bezmyślność, a cele wielkie i hasła święte, to tylko na temat do powieści lub dramatu.

Ludzi z ludźmi musi coś splatać, coś wiązać, coś jednoczyć, jak splata nić kwiaty w wieńcu, jak zespala wapno cegły w budowie, jak jednoczy pień drzewa sieć gałęzi wiotkich i giętkich.

Gdy ludzi splecie myśl szlachetna, miłość Ojczyzny, chęć wspólnej pracy nad szerzeniem oświaty, wtedy drobne wady, widziane u jednostek, stają się jakby niewidzialne, czcze i nudne rozmowy mniej się wyłaniają, a czas wspólnie spędzony jest ucztą ducha i pracą cenną. Tak Filareci w Wilnie pojmowali cel i znaczenie życia towarzyskiego, tak wiele domów poważnie żyjących zasiewa ducha w narodowych zebraniach i umacnia siły jednostek przez sploty przyjaźni.

W polskim domu życie towarzyskie, dobrze pojęte i kierowane, jest obywatelską szkołą i akademją najcenniejszą, bo tu młodzież uczy się nie wiedzy i przedmiotów, ale życia i czynów...

Jednak — takich zebrań mało.

Najpospoliciej zbierają się ludzie bez celu, bez planu, bez myśli o tem, co mają z sobą robić.

Gospodyni domu utonęła w przygotowaniu wieczerzy. Gospodarz ma sprawę z kieliszkami, cygarami i kartami.

Goście jedni przeglądają albumy lub karty z widokami, inni mielą ciągle te same nowiny polityczne, drudzy o sukniach i kapeluszach, zaręczynach i odkoszach lub latach panien, aż wreszcie „prosimy do stołu“. Tu już koniec wszystkiego! Żegnaj myśli jakakolwiek wyższa, piękniejsza, trudniejsza do uchwycenia. Choćbyś ją człeku sto razy wołał i stawiał przed obecnymi, ani jej nie obaczą, ani jej nie usłyszą.

— Niechże pani bierze! proszę jeszcze kawałeczek!

— Ale tak mało!... Jakże można...

— Jeszcze szynki, jeszcze polędwicy!

— Kieliszeczek koniecznie!...

— Jak pani piecze ciastka? Trzy jaja?...

— Wyborne!...

Tak przesiedzi się 2 i 3 godziny. Hałas, wrzawa, śmiechy, rumieńce, oczy pełne ognia, myślałbyś stojąc zdaleka, iż ci ludzie wielkie rzeczy mają przed sobą, że oni coś budują, wznoszą, że jakieś plany budują, a oni — zabijają czas.

Wy nie wiecie, co to znaczy zabijać czas?...

Czynicie to sami częstokroć w towarzystwie, tylko może tego nie uważacie.

Czas wszakże nie leci nad naszemi czołami, jak ów ptak podniebny, którego skrzydeł szelestu nawet nie słyszycie. Nie płynie on tak, jak owa chmura, co mknie wysoko, a choć niby ma barwę swą i formę swą, jest tylko pary wodnej lekkim podmuchem.

Czas jest w nas. My żyjemy w nim. On z nami razem leci, płynie, toczy się w dal, niknie z każdą chwilą oddechu naszego i żąda, abyśmy naszymi czynami, pracami i myślami jemu wartość nadawali. Kto w przeciągu dnia wykonał pewną robotę, chwycił lotność czasu i utrwalił byt jego. Następne chwile i godziny poszły dalej, ale tamte nie zginęły marnie... Jeśli zaś zebrane grono ludzi przepędzi czas bez żadnej korzyści i zdobyczy i czynu — czas ten uleciał i zaginął. Uleciał — i nie wróci!

Mogliśmy zrobić wiele, lecz nie było ducha, któryby pchnął nas do tego. Każdy z nas mógłby być w stosunku towarzyskim nie maszyną do jedzenia, ani młynem do mielenia, ale filarem i silną kolumną do podpory życia narodowego, lecz szkoda wielka, że takim nie jest.

Nie zawsze wina nasza, iż z gośćmi nudno, monotonnie i bezpożytecznie.

Czasem przyjdzie gość, przyniesie z sobą ocean słów i będzie niemi ciebie tak zatapiać, iż choćbyś się starał ratować, nie dasz rady. Trzeba wysłuchać cierpliwie, jak sługa odpowiadała, jak szwaczka zepsuła materyę, jak tanio u żydów jak zuchwałe są sługi.

— Ja jej tak, a ona mówi mi tak.

— Ja jej powiadam tak, a ona swoje.

Już wiemy, już wiemy, że ścierki nie wyprane, że rosół źle ugotowany, że przyszła aż po 12 do domu i zdaje się nam, że się dusimy pod

ciężarem tych nowin, a szanowny gość dalej i dalej.

Albo co to za ciekawy przedmiot do rozmowy na całe popołudnie i wieczór długi i długi jak droga do Chin...

— Tędy wstążka. Nie! tędy pasmanterya, a wstążka na lewo. Metr po 3 złr. Fałdy w kontra.

Mybyśmy radzi w kontra uciec bodaj jak Twardowski, ale gość trzyma nas gorzej na uwięzi niż Kozak Tatarzyna.

Podobnie dzieje się w domach „wyższych“ i „niższych“, wśród ludzi żyjących w naszych kołach i w ciaśniejszym zakresie.

Poddają się ludzie nie wyższości, ale niższości. Błahość i lekkość tematu wabi i nęci więcej, niż piękno, powaga i obowiązek życia głębszego duchem.

Na to jest rada. Gospodyni domu powinna mieć plan wytknięty i gości swoich powinna kierować do rozmowy pożytecznej, do wymiany zdań o rzeczach zaiste godnych myśli i czasu, oraz, powinna sama podawać treść życia ważniejszą nad „kanapki“ i ciastko, oraz filiżanki i kieliszki.

Z tematu powieści, teatru, festynów, rautów i wyjazdu do wód, godzi się przejść na tematy pedagogiczne, społeczne, narodowe i wiodące do celu prawdziwie oznaczonego. Bilety wizytowe, fotografie, porządki tańców z wielu lat, karty i kartki z widokami, to już istotna plewa, a przecież tem się najlepiej bawią. Czemu u nas, w salonie, zamiast tych bawidełek, nie znajdą się gazetki ludowe, aby o nich pogadać? Czemu zamiast wiecznie tych samych rozmów o oczach, wąsach, kapeluszach i tańcach, nie pogada się o tem, ile prywatnie potrzeba nam pracować nad rozbudzeniem ducha i ognia u młodzieży, gdy po szkołach tego nie czynią i nie „mogą“ czynić?

Jak są owe owady, które nabierają takiej barwy, na jakim kolorze kwiatu żyją, tak goście nasi powinni wśród domów naszych nabierać także myśli i przyjmować te wrażenia, które nasz dom nie bezmyślny i nie bez treści im poda.

Niech goście poznają i zrozumieją, iż nie przychodzą do stołu naszego jak do restauracyi, albo cukierni, ale zasiadają z nami, wspólnie — snując nić życia naszego przez ten czas, tak, jak my ją zawsze snujemy.

Jest to odwaga znaczna kierować życiem towarzystwa do nas zbliżającego się. Potrzeba do tego wielkiej zręczności i delikatności, ale za to jakże wielka korzyść!... Dobrze to i miło — ugościć, przyjąć, uweselić gości, ale niechże gospodynie nasze staną się o tyle wyższe i więcej postępowe, iżby na talerzach i półmiskach nie kazały myślom ludzkim żyć przez 2—3 godzin, albo nie pozwalały wnosić wiru, bezładu i próżności z chodników miasta — na nasze życie, tkane równo i snute pięknie...

„Towarzystwo“ jest łodzią, czy statkiem, pociągiem, czy powozem, dość, że pewną ilość ludzi przybliża ku naszym domom i odprowadza dalej, ale gospodyni domu jest sternikiem i ona może kierować... tylko... oby chciała i umiała!!...

Jadwiga S.

Rozmowa serca z myślą o piękności.

Pewnego razu siedziały sobie myśl i serce bardzo przykładnie przy stole. Myśl zatopiła się w czytaniu z grubej księgi o tytule: „Piękność fizyczna“; tak jej się treść podobała, że mimowoli półgłosem czytać poczęła. Była tam mowa o tak pięknych rzeczach i — mądrych! Ale po chwili już — znudzone serce poczęło strasznie poziewać, bo to co słyszało, zanadto było abstrakcyjne, ażeby mu się mogło podobać. „To doprawdy chyba tylko myślom podobać się może takie głupie suche opisy“ — mówiło serce do siebie, „my serca — pragniemy życia — pulsującego życia“ — — i usnęło spokojnie.

Wiadomo — myśli bywają straszliwie roztargnione, a jeśli się czemś specyalnie zajmują, to zapominają o całym świecie. Dlatego też i owa myśl, chcąc wyczyścić swoje ślepe okulary, spostrzegła dopiero po upływie godziny, że serce... mocno śpi. Potrząsnęła niem wcale nie delikatnie, mówiąc obrażona: „zdaje mi się, że ty śpisz?“ — „Ach,“ — zerwało się serce, „wszak i ja czasem spocząć muszę — (szczególniej gdy tak nudną jesteś“ — dodało z cicha do siebie) — i zaspane jeszcze powiedziało: „Chodź pójdziemy na przechadzkę; samo nie wiem co mi jest — nie mogę znaleźć spokoju, co chwila pragnę czegoś nowego“. — „Aha“ — zawołała myśl — „ja to znam“, — myśli znają wszystko. — „Już znowu uczuwasz boleści? ty dopiero chyba zmądrzejesz kiedyś, gdy już cię kto na wędrówce dobrym obuchem poczęstuje!“... Serce — zrobiło bardzo niemądrą minę i odpowiedziało wymijająco: „Chodź, chodź teraz; po drodze opowiesz mi o tem, co czytałaś.



Spóźnione aresztowanie.

Tak chętnie słucham o — piękności — o wszystkiem co piękne... Ach! piękność! dużo pięknego jest w świecie — nieprawdaż? Świat jest tak śliczny, tak cudownie piękny kiedy koch... —" „Kto jest piękny? co jest pięknem?!' przerwała ostro myśl natchnione słowa serca. Było to bardzo niegrzecznie z jej strony, ale biedne serca dają sobie zaimponować, bo z natury już są łatwowierne i tchórzliwe. Zamilkło zatem i — czekało.

Mądra myśl — zauważyła to i z swego punktu widzenia uważając się za powołaną do kierowania głupiem sercem i do wygłoszenia mądrej przemowy: „Moje ty kochane serce" — mówiła z góry i protekcyonalnie (myśli bywają bardzo — przyjemne — gdy się je czem zajmuje). — „Moje ko-

chane serce, tobie stanowczo brak wszelkiej metody logicznego myślenia, nam tylko właściwej. Ładny! piękny! toż tylko pusty dźwięk! mogłabym powiedzieć zgodnie z Mefistem: — gdzie brak pojęcia — tam wkładamy słowa — kto jest piękny? co jest pięknem? nawet serca jużby powinny przejrzeć w tym kierunku!... Ale wy jesteście jak te dzieci... gorzej stokroć; jesteście jak kobiety. Ale uważaj, że wspominając o kobietach, nie mam bynajmniej ich piękności na myśli — to nie mój dział, o tem może sądzić moja koleżanka — myśl — specyalistka na drugim fakultecie, a na dzisiaj chcę się ograniczyć na omówieniu piękności męskiej". — „Tak? a ja chciałam właśnie"... Myśl udała, że nie uważa nieśmiałego odezwania się serca. „Zresztą jestem bardzo szczęśliwa, że w ogólności ani szczegółach z pięknością kobiet nic nie mam do czynienia; mogę cię zapewnić kochane serce, że to bardzo niewdzięczna rzecz — zapuszczanie się w tego rodzaju wiadomości, zdradliwa, i — zawodząca, i — niezbadana; — nie dziwię się, że koleżanka moja, pomimo całej swej uczoności — zgłębiając te tajemnice, coraz to głupsza się staje. Tak..., a dowodzenia o tym przedmiocie was serc, a i mężczyzn, są — pod wszelką krytyką! Bo — proszę cię, przypuśćmy oto, takie naiwne serce, a wierzące, spostrzeże np. oczy, które właśnie błyszczą, sztucznie oświetlone, lub też jakiś ruch zgrabnie ujmujący, sukienkę, kilka włosów złotych na pożyłkowanych skroniach; usłyszy głosik umiejętnie zniżony... i oto — wpada już w ekstazę, a właścicielkę tych oczu... (podkrążonych), tego ruchu... (wystudyowanego), ogłasza nadziemskiem pełnem uroku stworzeniem. Znamy to, — a właściwie nie znamy, bo mnie nie mogło by się coś podobnego stać, umiem się nad wszystkiem zastanowić. Ale wy to sobie bardzo wygodnie urządzacie: — co kochacie — to jest pięknem".

Mówiąc te słowa, myśl złośliwie i ironicznie patrzyła z poza swoich szkieł na serce, które z podziwem i w milczeniu na nią spoglądało i zakłopotane tylko chrząkało. Myśl chrząkała także, ale głośno i bezwstydnie. — „Bo widzisz" — mówiła dalej, — „każdą rzecz powinno się zgłębiać wszystkie okoliczności wyczerpująco stosować, ażeby módz sobie zdanie wyrobić".

(Dokończenie nastąpi.)

Sztuczny rozwój roślin.

Większość drzew w porze zimowej zawiesza wszelką wegetacyę i dopiero z wiosną budzą się one z tego odrętwienia. Dzieje się to dlatego, ponieważ wiosna sprowadza warunki, niezbędne dla rozwoju roślinności, a także dlatego, ponieważ w czasie wypoczynku zimowego, w drzewach, o których mowa, dokonał się cały szereg zmian chemicznych. Bez tych zmian, rozwoj drzew rzeczonych byłby niemożliwy. Wstawmy naprzykład, do cieplarni drzewa lub krzewy, które potraciły liście z przyczyn naturalnych. Mimo podatnej temperatury, nie wypuszczą tam one nowych liści; gdy jednak uczynimy to doświadczenie po upływie kilku miesięcy, otrzymamy rozwój rośliny. Gałązki dereniowe, przeniesione do cieplarni 5 listopada, rozwijać się tam zaczęły dopiero po 53 dniach, przeniesione 5 grudnia — po 23 dniach, a przeniesione 5 lutego, rozwinęły się już po 10 dniach.

Można jednak drogą sztuczną skrócić znacznie okres spoczynku rośliny. Wynaleziono ku temu wiele sposobów. Najczęściej stosowana jest eteryfikacya. Daną roślinę trzyma się w oparach eteru lub chloroformu przez 24 do 48 godzin; roślina ta, przeniesiona następnie do cieplarni, rozwija się prawie natychmiast. Uczony botanik, profesor Uniwersytetu Praskiego, Hans Molisch, obmyślił inny, o wiele łatwiejszy sposób sztucznego pędzenia roślin. Zanurza on gałęzie na pewien czas w ciepłą wodę, wierzchołkiem na dół nie wprowadzając jednak do wody korzeni, a następnie wyjmuje z tej kąpieli rośliny i ustawia w cieplarni, gdzie niebawem zaczynają się rozwijać. Kąpiel w ciepłej wodzie trwa od 9 do 18 godzin, zależnie od gatunku rośliny. Najodpowiodniejszą jest temperatura od 30 do 40 stopni; taka temperatura zaleca się dla szakłaku i derenia białego; brzoza i wierzba wymagają 50 stopni.

Nadmieniliśmy, że czas trwania kąpieli zależy od gatunku rośliny, a dodamy jeszcze, iż trzeba go umiarkować względnie do tego, o ile okres spoczynku rośliny jest posunięty naprzód. Rośliny, które dłużej wypoczęły, wymagają krótszej kąpieli i przeciwnie.

Charakterystyczne jest to, że skutek ciepłej kąpieli ogranicza się tylko na częściach zanurzonych, a nie rozszerza się na całą roślinę. Łatwo to prawdzić na orzechu, wierzbie lub bzie. Zanurzając części tych rolin w ciepłej wodzie, a części



Spowiednik.

innej nie dopuszczając do tej kąpieli, otrzymamy na jednym i tym samym osobniku ciekawe zjawisko rozwoju i odrętwienia jednocześnie. Rozwijać się będą gałązki zanurzone, a nie zanurzone pozostaną w stanie odrętwienia. Inny botanik, Lobner, stosuje kąpiel nie w wodzie ciepłej, lecz w parze wodnej. Traktując w ten sposób konwalię, otrzymał pomyślny skutek. Sposób jednak prof. Molischa jest praktyczniejszy.

Potwory morskie.

Z pomiędzy dziwacznych postaci zwierzęcych, zamieszkujących głębiny morskie, wyróżniają się mięczaki, noszące nazwę głowonogów.

Wiadomo, że mięczaki są to zwierzęta o symetrycznej budowie, z ciałem miękkim, nie podzielonem na pierścienie, bez członkowatych organów ruchu. Z małemi wyjątkami, oddychają wszystkie za pomocą skrzel i rozmnażają się z jaj. Giętki płat skóry, t. zw. płaszcz, okrywa ich ciało, a nad nim, u przeważnej liczby gatunków, tworzą się

wapienne skorupy. Krew mają białą; wewnętrznego skieletu, ani też mlecza pacierzowego nie posiadają.

Główonogi stanowią najwybitniejszy gatunek mięczaków i rozpadają się na liczne odmiany. Ciało ich złożone jest z dwóch części: z tułowia, okrywającego w postaci otwartego z przodu worka skrzele i inne organy wewnętrzne, oraz z dobrze rozwiniętej głowy, zaopatrzonej parą dużych oczu i licznemi, chwytnemi ramionami, uzbrojonemi w ssawki; ramiona te w pewnych warunkach służą jako nogi. Właśnie dlatego mięczaki te otrzymały nazwę głowonogów, ponieważ nogi u nich wyrastają dokoła gęby tak, że w ścisłem tego słowa znaczeniu chodzą one, czyli pełzają, na głowie.

Niektóre głowonogi dochodzą olbrzymich rozmiarów, a wszystkie odznaczają się nadzwyczajną żarłocznością. Chwytne ich ramiona z przyssawkami stanowią straszliwy oręż; przyczepiają się do pochwyconej zdobyczy z taką siłą, że niepodobna się wydobyć z tego uścisku. Dziesięcionożne, mające przyssawki osadzone na szypułkach, nie mogą niemi przysysać się tak mocno, lecz te ich organy są opatrzone ostremi haczykami, chwytającemi tem silniej, że dzięki swym szypułkom, mogą się obracać na wszystkie strony. Haczyki te może głowonóg dowolnie wciągoć i wysuwać, jak kot pazury. Wielkość ramion chwytnych i układ przyssawek bywają rozmaite. U jednych głowonogów mają ramiona jednakową długość, u innych 4 są krótsze, a 4 dłuższe; u innych para ramion przewyższa sześć razy długość ciała. U jednych ramiona mają po jednym rzędzie przyssawek; u innych po dwa lub po cztery rzędy.

Z wyjątkiem ośmioramiennego głowonoga, pędzącego wśród skał samotne życie, inne głowonogi trzymają się razem, wędrują gromadnie po morzu i koło brzegów. Na mieliznach i ławach piasczystych niszczą nieraz całą nadzieję rybaka, a na pełnem morzu pochłaniają miliardami ryby i inne zwierzęta morskie. Mordują nie dla nasycenia się, lecz jedynie przez chęć morderstwa. Przy takiej żarłoczności i popędzie do mordowania, równowaga wśród mieszkańców morza wkrótce byłaby zwichniętą, gdyby mięczaki te nie były przerzedzane przez zastępy ich nieprzyjaciół. Wieloryby, delfiny, tuńczuki, bonity niszczą je w głębiach morskich; dorsze tępią je masami, gdy się razem z niemi ukażą na brzegach Ameryki północnej, albo na ławicach Neu-Foundlandu. Jeśli wypłyną na powierzchnię, stają się łupem albatrosów lub pereli.

Człowiek łowi je na przynętę dla dorszów, odgrywają więc one niemałą rolę w jednej z najważniejszych gałęzi handlu nadmorskich narodów. Są one dla człowieka pożyteczne i z innych względów. W starożytności niektóre głowonogi (ośmionogi, mątwy, kałamarnice) stanowiły u Greków poszukiwane jadło, a i dzisiaj służą one za pokarm mieszkańcom wybrzeży morza Śródziemnego i Adryackiego, oraz biskajskim i francuskim rybakom, którzy jedzą je świeże lub suszone. Na Teneryfie, w Brazylii, w Chili, w Peru, Indyach, Chinach, stanowią zwykły pokarm ludności. W Japonii są przedmiotem rozległego handlu.

Grzbietowa skorupa mątwy służy złotnikom do polerowania metali; ciecz czarna zaś mątwy służy w malarstwie jako farba, znana pod nazwą sepii. Wspomnieliśmy wyżej, że niektóre głowonogi dochodzą do zadziwiającej wielkości. Peron widział w Tasmanii mątwę, wielkości olbrzymiej beczki. Płynęła ona po falach z głośnym szelestem, ramiona jej poruszały się po powierzchni morza na kształt wielkich wężów. Każde z tych ramion miało co najmniej metr długości. Quoy i Gaymard spotkali na Atlantyku, w pobliżu równika, szczątki olbrzymiego głowonoga. „To, co ptactwo morskie i rekliny pozostawiły, ważyło przeszło 1,000 funtów, a była to tylko połowa ciała pozbawiona ramion, tak, że cały ten potwór mógł mieć wagi 2,000 funtów. Jakże długie i grube musiały być ramiona! Wyobraźmy sobie tylko polipa takiej wielkości, którego ramiona znacznie są dłuższe, a wtedy łatwo uwierzymy, że taki olbrzym jest w stanie wyciągnąć człowieka z łodzi.“ Kapitan Bouyer, dowódzca francuskiego okrętu widział pomiędzy Maderą a Teneryfą unoszonego przez falę głowonoga, mającego do 6 metrów długości, nie licząc w to potężnych ramion.

Tak olbrzymie potwory są niebezpieczne nietylko dla ludzi, ale i dla małych statków. Zwłaszcza nurkowie są na tego rodzaju niebezpieczeństwo narażani. Owóż nurek, zajęty pracą, zauważa nagle jakiś wielki cień, który szybku zbliża się ku niemu. Po chwili rozróżnia nieforemną głowę, z potężnym dziobem rogowym, podobnym do papuziego, i z wysadzonemi na wierzch ślepiami zielonemi. Przerażony nurek poznał głowonoga. Zaledwie zdążył pociągnąć za linę sygnałową, przytwierdzoną do okrętu, już mięczak obwinął go potężnemi ramionami. Na szczęście, nurek ma drąg żelazny, pochwycił go więc i z całą siłą wepchnął w cielsko potworne. Wstrząsnął się mięczak, lecz ani myślał się odczepić. Nie puszczając nurka, obwinął jednem ramieniem lewar, drugiem usiłował obwinąć hełm nurka. Ślepie mu błyszczały



Czułe pożegnanie.

coraz groźniej, coraz też silniej ściskał ciało nurka. Nieszczęśliwy człowiek tracił już przytomność, gdy nareszcie zjawiła się zaalarmowa pomoc. Przybyły na ratunek towarzysza nurek rzucił się na potwora z wielkim nożem. Lecz mięczak, zamiast się cofnąć, wyciągnął ku przybyłemu dwa ramiona. Napadnięty błyskawicznemi ciosy odciął oba ramiona, następnie poodcinał ramiona, duszące towarzysza. Wszystko to trwało bardzo krótko. Niebawem potwór został zupełnie obezwładniony.

Godzi się przypomnieć, że Wiktor Hugo, w jednej ze swoich słynnych powieści, p. t. „Pracownicy morza,“ dał wspaniały opis walki człowieka z ośmiogłowem. Znakomity pisarz zdobył się w tym opisie na wstrząsający do głębi tragizm, który się wdraża w pamięć na zawsze.

Cześć dla umarłych w Chinach.

Na gruncie wiary w życiu po za grobem, wytworzyła się u Chińczyków wysoka cześć dla przodków, która stanowi główną podstawę ich uczuć i wierzeń religijnych. Duchy przodków otaczają swoich potomków żyjących, wpływają źle lub dobrze na ich losy, mogą być dla nich pomocne lub szkodliwe, a oddawaniem czci i składaniem ofiar, pozwalają się łaskawie zjednywać. Stąd płynie cześć dla grobów i cmentarzy, urządzanie sal przodków po domach, wyobrażanie ich w posążkach, rozmaitych symbolach, składanie im ofiar z ziół aromatycznych, papierków kolorowych, jedwabiu, wina ryżowege, a nawet — chociaż rzadko — ze stworzeń żywych, co już przy-

biera formę religijnego kultu. Wielcy przodkowie — bohaterowie, potężni cesarze i mędrcy, stają się świętemi i bóstwami. Duchy zwyczajnych przodków rodziny nie są tak potężne. Główna rola, jaka im przypada, to orędownictwo u bogów, u świętych, u potężnych, złych lub dobrych, duchów, które błogiemi lub niszczącemi zjawiskami w przyrodzie rządzą. I tutaj część przodków łączy się z czcią dla potężnych zjawisk przyrody, które wszakże nie zostały tak szczegółowo uosobione, jak naprzykład w Grecyi, i nie posłużyły Chinom do wytworzenia takiej, jak tam, wspaniałej mitologii.

Cześć dla przodków stała się podłożem dla wielu wierzeń. Pomiędzy innemi, Chińczycy są przekonani, że przedmioty, należące do nieboszczyka, lub wierna podobizna tych przedmiotów, po spaleniu, odtwarza się w krainie zagrobowej realnie, a duchy zmarłych doznają niewypowiedzianej błogości, odzyskując w ten sposób swoją ziemską własność. To też Chińczycy starają się o ile można najczęściej sprawiać duchom zmarłych przodków taką rozkosz. Ofiara tego rodzaju zawsze jest połączona z kosztem, który dochodzi do bajecznej wysokości, jeżeli idzie o sprawienie rozkoszy duchom wysokich mandarynów, dostojnych książąt lub monarchów. Dla takich duchów, odtwarzają całe pałace z kolorowego papieru i bambusu. We wrześniu rz. w Pekinie, podczas Święta Umarłych, uczczono w ten sposób zmarłą cesarzową. W obrębie dzielnicy cesarskiej, na obszernym placu, zbudowano olbrzymią, wspaniale przyozdobioną łódź, na której umieszczono ulubiony pałac zmarłej cesarzowej, z całem urządzeniem wewnętrznem, pogodę, altanę, w której wypoczywała najchętniej, lektyki itp. Umieszczono też na łodzi figury wioślarzy i świętobliwych bonzów, postacie bożyszcz, lwów złotych, smoków itp. Dzieło to, wykonane jedynie z różnobarwnego papieru i bambusu, do złudzenia naśladowało rzeczywistość, a trzeba było zdumiewającej cierpliwości, żeby je we wszelkich szczegółach wykończyć. W dzień Święta Umarłych, po południu, podpalono łódź od spodu i cały ten gmach olbrzymi, kosztujący 500 000 franków, spłonął w przeciągu niespełna kwadransu. Jednocześnie o 50 kilometrów od Pekinu, w miejscowości Si Ling, gdzie pogrzebano zmarłego cesarza, spalono gmach z tego samego materyału, wzniesiony ku czci tego monarchy. I ten gmach również kosztował 500 000 franków.

Tak więc dla uszczęśliwienia po za grobem duchów monarszych, nie wahano się poświęcić miliona franków.

ROZWODY W ANGLII.

Najpopularniejszą z pomiędzy „kwestyi dnia“, nie licząc oczywiście sprawy parlamentu, jest w Anglii kwestya rozwodowa. W obecnej chwili rozpatruje ją specyalna komisya, ustawicznie niepokojona z jednej strony częstemi skargami rozwodowemi, z drugiej zaś — zażaleniami przeciw brakom prawodawstwa. A tu jeszcze z Ameryki przybyła wieść o ukończeniu procesu Astorów, na zasadzie którego mąż zobowiązał się corocznie wypłacać żonie 800,000 rb., w tych dniach zaś wydał kosztem 6000 funtów st. bal, dla przekonania się, jak jest usposobiona względem niego opinia publiczna w Nowym Yorku. W tym samym czasie to mężowie, to żony, nieskończonym pochodem przeciągają przed sądem angielskim, oskarżając się wzajem bądź o „mis-conduct“ (niemoralne prowadzenie się), bądź o obelgi czynne.

Sprawiedliwi sędziowie starają się pogodzić zwaśnionych. Oskarżone „osoby trzecie“ pod przysięgą zeznają, że zachowywały się z mistress taką a taką najzupełniej przyzwoicie, że się nawet nie całowano, nie mówiąc już o niczem gorszem, mężowie również pod przysięgą przechwalają się wiernością wzgędem swych żon i niejednokrotnie małżeństwo odchodzi pogodzone, wysłuchawszy pouczającej przemowy sędziego, błogosławiącego ich na dalsze wspólne życie. Czasami podejrzana „osoba trzecia“ żąda wynagrodzenia strat i dumnie opuszcza salę sądową.

Nie wszystkie jednak procesy kończą się tak pokojowo. Są mężowie — zwierzęta, zamęczający żony; są żony, uniemożliwiające życie mężom. Przed kilku dniami w Londynie miała miejsce jedna z najzabawniejszych spraw rozwodowych, jakie kiedykolwiek notowały kroniki sądowe.

Osoby działające — małżeństwo, które tego lata obchodzić miało złote wesele, teraz zaś domaga się rozwodu.

Stary wilk morski, kapitan Shaw, przypomina bohaterów nawet z życia portowego Jacobsa. Po długiej włóczędze po morzu, skąd regularnie wysyłał żonie swe oszczędności, stary marynarz wrócił do swego „home'u“ na wypoczynek. Czy to jednak swarliwość żony, czy też gwałtowność nieznoszącego oporu kapitana wspólne pożycie małżonków uczyniły niemożliwem i mistress Shaw wniosła skargę rozwodową. Starusnkowie mają czworo dzieci i czworo wnuków.

Kapitana oskarżono o wszelkiego rodzaju okrucieństwa. O to, i w napadzie wściekłego gniewu o mało co nie zadusił żony, że pewnego



Szczęście matki.

razu ciągnął za włosy najmłodszą swą córkę — the baby of the family — damę lat 36, po całym korytarzu. Innym jeszcze razem kapitan ugryzł żonę w palec.

Jak w wesołym wodewilu przeciągnęły przed sędzią osoby działające tej tragi-komedyi. Kapitan oświadczywszy, że usposobienie ma łagodne, jak baranek, zaparł się wszystkiego, twierdząc, że jest niewinny, że doprowadzono go do wściekłości zachowując się względem niego bez należnego mu szacunku, że żonę ugryzł w palec podczas bitwy, w której brali udział: kapitan, jego żona, dwie córki, kuzyn, dwie kuzynki i wnuk i że on musiał się bronić przed całą tą zgrają krewnych. Georginę, 36-letnią baby istotnie ciągnął za włosy po korytarzu, ale działo się to znowu podczas walki z domownikami.

— Jakiego usposobienia jest pańska małżonka? — zapytał sędzia.

— Usposobienia? — „morskim" głosem ryknął kapitan — wybacz mi pan, jeśli określę je wyrazem...

— Nie, nie, nie trzeba — powstrzymał go sędzia, przeczuwając jakieś określenie, zrozumiałe jedynie dla uwędzonego na wichrze morskim starego wilka.

Mimo to zaproponował im, aby się jakoś między sobą ułożyli, pomyśleli o bliskiej śmierci i nie spieszyli z rozwodem.



SPŁOSZONA.

Kapitan z kapitanową, z towarzyszącą im rodziną, poszli kłócić się w dalszym ciągu w domu, postanowiwszy odłożyć sprawę do lata, po uroczystym obchodzie złotych godów.

Drobiazgi naukowe.

Tlen jako środek wzmacniający energię.

Ongi nazywano tlen „gazem życia“ nie bez słuszności, gdyż podtrzymując oddychanie, jest on niezbędnym dla każdej istoty żyjącej, zwierzę-

cia czy rośliny. Działalność jednak życiowa w czystym tlenie odbywałaby się zanadto energicznie i rychłoby ustawała, dlatego też gwałtowne działanie tlenu w atmosferze jest zmniejszone przez zmieszanie go z azotem. Tlen atmosferyczny, wdychany przez organizm, odświeża i wzbogaca krew. Wciągając zaś ten gaz do płuc w stanie czystym, doznajemy orzeźwienia, puls bije silniej, uczuwamy apetyt członki nasze nabierają siły, sprężystości, energii. Te własności życiodawczego gazu zwróciły uwagę lekarzy i skłoniły ich do zastosowania czystego tlenu jako środka leczniczego przy cierpieniach oddechowych, w wypadkach astmy, lub wreszcie, gdy zachodzi potrzeba sprawienia ulgi podczas agonii. Również wdychanie tlenu okazuje zbawcze usługi przy zatruciach gazem oświetlającym i kwasem węglanym. W ostatnim czasie, lekarz londyński, Leonard Erskine Hill, zaczął stosować tlen do wzmacniania sił szermierzy podczas walk sportowych. Oczywiście, odbył przedtem liczne próby. Młodemu, niewyćwiczonemu jeszcze należycie szermierzowi stawiał za przeciwnika doświadczonego boksera. Ten ostatni bez wysiłku pokonywał młodzieńca. Gdy jednak pokonany zaczerpnął pewną ilość tlenu, siła jego i sprawność tak się wzmogły, że z kolei pokonywał swego niedawnego zwycięzcę. Obecnie dr. Erskine Hill urobił sobie już system wzmacniania sił zapaśników walk sportowych.

Szermierze pokrzepiają organizm tlenem, wdychając gaz ten, nagromadzony w cylindrze stalowym, za pomocą rur, przyczem twarze mają osłonięte maskami szklanemi, zapobiegającemi zbyt szybkiemu ulatnianiu się gazu.

Nasze ilustracye.

Spóźnione aresztowanie — to jedna z tragicznych kart powstania styczniowego, które znalazło znakomitego ilustratora w nieśmiertelnym Arturze *Grottgierze.* Młody, ubogi rzemieślnik warszawski, w którego piersiach serce gorącym rozgorzało uczuciem miłości Ojczyzny, opuścił gniazdko swoje rodzinne i pełen zapału i poświęcenia dla sprawy, poszedł w wir walki o niepodległość Poski. Atoli wraża kula moskiewska ugodziła go; towarzysze broni odnieśli go do nieszczęśliwej żony i sierotki. Raniony śmiertelnie niebawem wyzionął ducha, gdy w tem w drzwiach chatki ukazują się moskiewscy sołdaci, by aresztować „buntowszczyka". Zapóźno! on do nich już nie należy — przed tron Boga, który go sprawiedliwiej osądzi, niż wszelkie sądy ziemskie.

Spowiednik — przedstawia nam ubogą celę klasztorną, a w niej sędziwego przeora spowiadającego młodego braciszka zakonnego. Na twarzy młodzieńca wyrażona boleść za winy popełnione; zdaje się wołać: „mea culpa!"... Zaś oblicze starca surowe a dobrotliwe i wyrozumiałe, mówi: „Przebaczam!"...

Czułe pożegnanie przedstawia nam parę zakochanych, których spoźniona niestety rozdziela pora. On spieszy do domu, ona pozostanie tu; lecz obojga omota miłości nić złota, co na jawie śnić każe o cudnej przyszłości.

Szczęście matki, najwyższe może, to dziecina, która ziścić powinna zamierzenia jej niespełnione.

Spłoszona. Nadobna krasawica w piękny wieczór majowy spoczęła w ustronnym gaju. I słuchała może trelów słowiczych, i rozmarzonym wzrokiem wodziła po księżyca białej poświacie, i może sercem jej wstrząsała tęsknota miłosna — gdy nagle... zaszeleściało coś w gaju. Najwidoczniej zbliżał się ktoś do niej. Zerwała się przelękniona... A może to on, jej wybrany.

Łamigłówki.

Łamigłówka krzyżowa.

Z liter zamieszczonych w promieniach schodzących się w środku przy literze A, jak następuje:

						1	2	3						
						Z	P	E						
						M	L	R						
						P	K	Y						
						A	O	E						
						E	S	G						
12	L	D	O	I	N				E	K	S	N	E	4
11	H	A	S	A	R		A		N	Z	K	A	O	5
10	K	A	R	S	G				Y	M	K	U	Z	6
						R	D	Y						
						A	E	S						
						F	B	R						
						Ż	M	T						
						Y	E	A						
						9	8	7						

ułożyć wyrazów 12, które oznaczają:

1) Hetman kozacki
2) Dawne państwo w Europie
3) Nimfa
4) Filozof w Grecyi
5) Rzeka w Afryce
6) Jedna z muz
7) Rodzaj poezyi dydaktycznej
8) Jezioro w Afryce
9) Zwierzę przeżuwające

10) Kaznodzieja za Żygmunta III.
11) Pustynia
12) Miasto w Brazylii.

Łamigłówka kryształowa.

```
            A
         A  A  A
      A  A  B  C  E
   E  E  E  E  Ę  H  H
H  I  K  Ł  Ł  N  N  N  O
   O  O  O  P  R  R  R
      R  R  T  U  W
         W  W  W
            Y
```

Z powyższych liter złożyć 9 wyrazów. Litery środkowe (w liniach przekątnych) tworzą nazwisko wieszcza ukraińskiego.

Znaczenie wyrazów:

1) Spółgłoska W. 2) Zwierzę dzikie. 3) Mieszkaniec półwyspu bałkańskiego. 4) Powieść Walter Scotta. 5) ? ? ? ? ? ? ? ? ? 6) Inaczej chłopię. 7) Narzędzie rolnicze. 8) Okres czasu. 9) Samogłoska A.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać *najpóźniej do 26 bm.* na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 3 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 23.

Rozwiązanie

łamigłówek zamieszczonych w nr. 19.:

1. war — kocz.
2. sok — kos.
3. Edward
   Limonada
   Inkaust
   Zapolska
   Agronom
   Opole
   Rebeka
   Zagłoba
   Epaminondas
   Soczewica
   Zarodek
   Kopernik
   Oda
   Warta
   Anczyc

ELIZA ORZESZKOWA

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi.

Tosia Bilska, Ludwika Bojukowa, Józefa Brończyk, Marya Chciukowa, Tomasz Cichowski, Władysław Dubaj, Karól Dziura, Laura Fiszer, Jan Gawron, Zygmunt Gaudnik, Stanisław Karaś, Franciszek Kempski, Henryk Królicki, Józio Molly, Ludwik Mazur, Karól Nowak, ks. Wincenty Osikowski, Ks. Pacuła, Zofia Paneszowa, Ludwik Rola, Kazimierz Sokołowski, J. Steindl, Piotr Stolarzewicz, Franciszek Szewczyk, Marek Tutak, Anna Wełnianka, Józefa Wilkoniowna.

Czytelnia Robotn. Salinarnych w Wieliczce, Józef Głuszak, Jan Habela, Zofia Jaroszówna, Teodozya Kraliczkowa, Romuald Kulczycki, Jan Machnica, z Wielowiejskich Mieczysława Miszewska, Tadeusz Nodzyński, Józef Pieszczoch, Kazimierz Szeliga.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

Kazimierz i Stanisława Balcerscy, Marya Baranowska, Elteha (pseudonim), Stefcia Jaworowska, Leokadya Konopińska, Pelagia Kopońska, Zoryan Łuczkowski, St. Markowiak, Jadwiga Nowak, Zofia Starkówna, Władysław Szynkowski, Zagierski, Oleńka Żurkowska.

Z obczyzny i zagranicy.

Władysław Muth, z Berlina, Walerya Vogtowa z Westfalii, Antoni Matuszewski z Kopenhagi (Dania), Józef Zarzycki z Turynu (Włochy).

Nagrodę otrzymali:

Kazimierz i Stanisława Balcerscy z Wąbrzeźna (Prusy Zach.), Anna Wełnianka z Zakopanego, Zofia Starkówna z Poznania.

Najmilsza nauka.

Z chmurą zadumy na jasnem czole,
Wsparłszy się ręką siadło pacholę
I do nauki samo się bierze,
Ochoczo, żwawo, serdecznie, szczerze.

Nikt go nie nagli, nie pcha, nie woła,
Lecz sam z głęboką troską u czoła,
Z okiem, co wcześnie się już nie śmieje
Siada, by poznać Polski swej dzieje.

Już zna litery z elementarza,
Już i pacierze gładko powtarza,
Teraz chce Polski znać przeszłość całą,
Bo wie, że wielką słynęła chwałą.

Chce Polski przeszłość znać polskie dziecię
I chce znać troskę, co ją dziś gniecie
I chce znać kraju swojego bóle,
Wiedzieć jak swoi rządzili króle.

Chce królów swoich poznać imiona
I czyny mężów zacnego grona,
Potem, śląc myśl swą hen, w kraj daleki
Chce poznać polskie góry i rzeki.

Serduszko głośno chłopięciu puka,
Nie tak to łatwa taka nauka,
Lecz choć pot znoju zalśni na czole,
Chce swego kraju poznać niedolę.

Paula Wężyk.

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

Wyprowadzano go codziennie przed południem na przechadzkę, pod konwojem dwu ludzi.

Ciekawość ogółu rosła z dnia na dzień. Wyczekiwano wiadomości o ucieczce. Życzono jej nawet. Arseniusz Łupin swą wesołością, dowcipem, genialnością pomysłów i tajemniczym sposobem życia porywał tłum. Powiniem był uciec. Była to rzecz nieunikniona, konieczna. Dziwiono się nawet, że zwleka tak długo. Codziennie prefekt policyi zapytywał sekretarza!

— No i cóż, nie umknął jeszcze?

— Nie, panie prefekcie.

— A więc to jutro.

W wigilję procesu do biura gazety „Grand Journal", wszedł jakiś mężczyzna, pytając o sprawozdawcę sądowego. Rzucił mu w twarz kartę i oddalił się szybko. Na karcie wypisane były słowa następujące: „Arseniusz Lupin zawsze dotrzymuje obietnic".

* * *

W tych warunkach rozpoczęło się posiedzenie sądu. Publiczności zgromadziło się moc. Każdy chciał widzieć sławnego Arseniusza Lupin, każdy z góry już delektował się widokiem prezesa, wyprowadzonego w pole. Adwokaci, urzędnicy, reporterzy, artyści, złota młodzież, damy z wielkiego świata — cały Paryż tłoczył sią w ławkach sali sądowej.

Padał deszcz. Dzień był posępny, trudno więc było przyjrzeć się dokładnie Arseniuszowi Lupin, gdy go pod strażą wprowadzono do sali. Upadł ciężko na ławkę. Sztywna postawa, ruchy niezgrabne, apatya rozlana na twarzy nikogo nie usposobiły przychylenie.

Adwokat — jeden z pomocników wielkiego Danvala, który uważał za rzecz niegodną siebie, zejść do roli, wyznaczonej mu przez Lupin'a — kilkakrotnie zwracał się do obwinionego. Więzień potrząsał głową i milczał.

Pisarz odczytał akt oskarżenia. Poczem prezes wygłosił:

— Oskarżony, proszę wstać. Imię, nazwisko, wiek i zawód?

Nie otrzymując odpowiedzi, powtórzył zapytanie:

— Imię i nazwisko? Zapytuje po raz drugi:

Głos ochrypły, zmęczony wyjąkał:

— Baudru, Dezydery.

Powstał szmer, stłumione szepty. Prezes zaczął bardzo ostro:

— Baudru, Dezydery? A więc jeszcze jedna awantura! Zdaje mi się, że to już ósme nazwisko, które pan przybierasz, a które jest tak samo urojone jak poprzednie. Wobec tego pozostaniemy przy nazwisku Arseniusza Lupin, pod którem jesteś pan zaszczytnie znany.

Zajrzał do aktów. Po chwili mówił znowu:

— Pomimo najstaranniejszych poszukiwań nie udało się sprawdzić pańskiej tożsamości. W naszym nowożytnym społeczeństwie przedstawiasz pan typ niesłychanie oryginalny... nie masz pan przeszłości. Nie wiemy, kto pan jesteś, zkąd pochodzisz, gdzie upłynęło pańskie dzieciństwo — jednem słowem nie wiemy nic.

Ukazujesz się pan przed trzema laty nagle, wyrastasz z niewiadowego środowiska odrazu jako Arseniusz Lupin — to znaczy dziwaczna mieszanina inteligencyi, przewrotności, zdeprawowania i szlachetności. Dane, odnoszące się do pańskiej przeszłości, sprowadzają się do mglistych przypuszczeń. Możliwe, iż tak zwany Rostat, pomocnik słynnego przed ośmiu laty kuglarza Dicksona — to Arseniusz Lupin. Być może też, że student rosyjski, pracujący w laboratoryum doktora Altier, przy szpitalu Saint-Louis i niejednokrotnie zadziwiający profesora genialnością swoich hypotez bakterjologicznych, oraz śmiałemi próbami, stosowanemi do chorób skórnych — to także Arseniusz Lupin. Równie dobrze możemy przypuścić, iż to Arseniusz Lupin był czas jakiś w Paryżu mistrzem fechtunku japońskiego, dużo wcześniej nim zaczęto mówić o dziu-dzitsu. Arseniuszem Lupin, mógł też być ów sławny cyklista, który zdobył pierwszą nagrodę na wystawie, podniósł 10,000 fr. i znikł bez śladu. A może też Arseniusz Lupin to ów człowiek, który podczas katastrofy na Bazarze dobroczynnym uratował życie tylu ludziom, wynosząc ich przez małe okienko... a potem wszystkich ograbił...

Po krótkiej pauzie ciągnął dalej:

Taką jest w ogólnych zarysach owa przeszłość, będąca niby przygotowaniem się do walki zaciętej, jaką wydałeś pan społeczeństwu, szkołą, w której do najwyższego stopniu rozwinąłeś siłę, energję, zręczność. Czy potwierdzasz pan prawdziwość powyższych faktów?...

Podczas tej przemowy oskarżony przestępował z nogi na nogę, zgarbiony, z rękami opuszczonemi bezwładnie. Przy lepszem oświetleniu wszyscy

zauważyli jego niezwykłą chudość, policzki zapadłe, silnie wystające kości twarzowe, ziemistą cerę, usianą czerwonemi plamami, rzadki nierówny zarost. Więzienie wpłynęło nań bardzo ujemnie. Zestarzał się, zwiądł. Wytworny wdzięk i świeżość młodości, cechujące portrety sympatycznego włamywacza, tak często podawane w pismach, znikły bez śladu.

Zdawał się nie słyszeć pytań, które mu stawiano. Musiano mu je powtarzać dwukrotnie. Wreszcie podniósł oczy, namyślał się chwilę i wyjąkał z trudem:

— Baudru Dezydery.

Prezes zaczął się śmiać:

— Nie zdaję sobie dokładnie sprawy, dlaczego przyjąłeś pan tak dziki system obrony. Jeżeli chcesz grać rolę niepoczytelnego głupca to — jak się panu podoba. Co do mnie, zmierzam wprost do celu, nie zwracając uwagi na pańskie dziwactwa.

Zatopił się w wyliczaniu szczegółów, odnoszących się do popełnionych kradzieży, oszustw, fałszerstw itp. rzeczy, o które obwiniany był Arseniusz Lupin. Niekiedy zapytywał delikwenta, który mruczał niewyraźnie, lub też nie odpowiadał wcale.

Rozpoczęło się przesłuchiwanie świadków. Składano zeznania mniej lub więcej obarczające. Wszystkie miały tę wspólną cechę, że przeczyły sobie wzajemnie. Atmosfera ołowiana zaciężyła nad posiedzeniem. Wszedł inspektor główny Ganimard. Publiczność ożywiła się nieco. Lecz stary agent zawiódł oczekiwania. Wyglądał, nie powiem onieśmielony — w gorszych bywał opałach — lecz jakiś zmieszany, niespokojny. Kilkakrotnie spoglądał na więźnia z widocznem zakłopotaniem. Obu rękami opierając się o kratki, opowiadał o zdarzeniach, w których tak czynną odegrał rolę: o swej pogoni za Arseniuszem, o przybyciu do Ameryki. Słuchano go chciwie, tak jak się słucha fantastycznych opowieści. Pcd koniec, czyniąc akcyę do ostatniej rozmowy w więzieniu, zatrzymał się roztargniony, niezdecydowany.

Jasnem było, że myśl jakaś opanowała go całkowicie.

— Jeżeli pan jesteś cierpiącym, możnaby przerwać zeznanie — odezwał się prezes.

— Nie... nie... tylko...

Umilkł, wpatrzył się badawczo w oskarżonego' potem rzekł:

— Chciałbym się oskarżonemu przyjrzeć z bliska. Proszę o pozwolenie. Kryje się tu jakaś tajemnica, którą muszą wyjaśnić.

Zbliżył się do więźnia, wpatrywał się weń długo, długo, skupiając całą uwagę. Potem wrócił przed kratki i głosem nieco uroczystym oświadczył:

— Panie prezesie! Twierdzę, że człowiek, którego widzę tu przed sobą, nie jest Arseniuszem Lupin.

Zapanowała głęboka cisza. Prezes, zaskoczony z nienacka, zawołał:

— Co pan mówisz! Jesteś pan chyba nieprzytomny.

Inspektor nie dał się zbić z tropu.

— W pierwszej chwili, istotnie, można się omylić... podobieństwo w rysach istnieje, przyznaję.. Lecz jedna sekunda wystarczy, aby poznać błąd... Nos, usta, włosy, cera... ale co tu długo mówić... to nie Arseniusz Lupin, i koniec... A te oczy, dla Boga! Arseniusz Lupin nie miał nigdy oczu alkoholika.

— Uspokój się pan, porozumiejmy się! Co pan przypuszcza?

— Czy ja wiem? Prawdopodobnie Lupin podstawił na swoje miejsce jakiegoś biedaka... może to poprostu jakiś wspólnik.

Ze wszystkich stron sali rozlegały się śmiechy, krzyki, wołania. Publiczność była niesłychanie ubawiona tak nieoczekiwanem rozwiązaniem sprawy. Prezes wezwał sędziego śledczego, dyrektora więzienia i stróżów. Poczem zawiesił posiedzenie.

Gdy się debaty rozpoczęły na nowo, sędzia Bouvier i dyrektor więzienia przy konfrontacyi z oskarżonym oświadczyli, że między nim a Arseniuszem Lupin istnieje tylko bardzo niewyraźne podobieństwo w rysach.

— W takim razie — zawołał prezes — co to za człowiek? Zkąd się wziął? Dlaczego się znajduje w rękach sprawiedliwości?

Sprowadzono obu stróżów więziennych. Sprzeczność zdumiewająca! Stróże oświadczyli, że to ten sam człowiek, nad którym przez dwa miesiące czuwali kolejno.

Prezes odetchnął.

Wtem odezwał się jeden ze stróżów:

— Tak, tak... zdaje mi się, że to on.

— Jakto? Co to znaczy „zdaje się"?

— Do djaska, mało go widziałem. Oddano mi go wieczorem. Przez całe dwa miesiące leżał w łóżku, zwrócony ku ścianie.

— No, ale przedtem?

— Ba, przedtem zajmował celę pod Nr. 24.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

NR. 21

(Ciąg dalszy.)

Nigdzie o zazdrość nie trudno, i na niechętnych nie zbywa.

Charakter energiczny, mało się hamować w wybuchach umiejący Pułaskiego, przywyknienie do wojskowej karności, którą za jeden z głównych powodzenia warunków uważał, wcześnie musiały mu przysposobić nieprzyjaciół.

Dość było wreszcie, że przybysz, człek nowy, otrzymał dowództwo. Opierał się on na życzliwości Washingtona, którą pozyskał od razu, umiał ją zachować i zbliżeniem się doń, zjednać ufność i szacunek.

Washington cenił w nim nietylko męztwo, ale nieubłaganą w służbie surowość i pojęcia karności, które przynosił.

Amerykańscy ochotnicy, dzielni duchem, bitni w ogniu, swobody tej, za którą walczyli, wymagali dla siebie wszędzie, nawet tam, gdzie się jej żądać nie godziło, a dać nie było wolno — w obozie, w pochodzie, w szyku.

Rozprzężanie było wielkie i jemu też większą część klęsk poniesionych przypisywać należało. Washington czuł to, ale nie wszystko mógł wykonać, czego pragnął.

Właśnie w chwili gdy generał Read odmówił przyjęcia dowództwa nad jazdą, która się z dwóch pułków zbieraniny awanturniczej składała, przybywał Pułaski i na objęcie tej brygady został naznaczonym. Rogowski i Karol mieli się przy nim pomieścić.

Pluta już znowu szczęśliwy był ze wszystkiego, nie tak chmurną wydawała mu się teraz Ameryka, roił zwycięstwa i wawrzyny. Jasnym, cudnym wydawał się teraz świat nowy, pełnym niespodzianych zjawisk i wdzięku; znajdował go przy dziewiczej dzikości jego majestatycznym, wspaniałym...

Pułaski przy tem sercu młodzieńczem, pełnem poezyi i miłości, otwartem dla wszystkiego, co szlachetne i piękne, rozgrzewał się, lepsze swe przypominając lata.

Takim i on wyjechał był z rodzicielskiego domu.

W czasie długiej podróży Karol się zbliżył do niego, stosunek ich był prawie braterski z odcieniem starszeństwa.

W sercu Karola poznanie lepsze, poufalsze Pułaskiego zrodziło nietylko miłość, ale uwiel-

bienie pełne zapału. Przywiązaniem tem był szczęśliwy.

Teraz gdy Ameryka gościnnie przyjęła jego bohatera, wydała mu się ziemią obiecaną. Marzył, że tu odbywszy szkołę rycerską u jego boku, z nim kiedyś powróci do Polski i wywalczy jej swobodę.

Do jego naiwnych a serdecznych uczuć stroiła się często znękana dusza starszego wygnańca. Z nim razem często dziecinnieli, z nim ściskali brzozy i jodły, polskich siostrzyce... spotkawszy je w lasach Ameryki.

Zapał Karola zwrócił Pułaskiego ku majestatycznym pięknościom natury nowego świata; a choć prozaiczniejszy Rogowski zżymał ramionami na te uniesienia, oni we dwóch w dziewiczych borach Pensylwanii stawali często podziwiać i rozkoszować się omszonemi dęby, cedrami, tulipanowemi drzewy, tysiącem zjawisk niespodziewanych a wdzięcznych, okwitłych i wonnych, lub dziwacznych i dzikich.

Młodzieńcze to serce i wyobraźnia żywa Karola jasnym promieniem ozłacały szare dni wygnania.

Znosił on wszystko wesoło, niewygody, głód, komary i utrapione muchy, które Amerykanie nazywali Hesskiemi, utrzymując, że je z sobą najemne pułki Hessów przywiozły na zjadanie obywateli kolonii.

Karol nigdy się nie poskarżył, nie zachmurzył, chyba gdy Pułaskiemu na czem zbywało.

U brzegów Delawary i Brandywine gdy w moczarach posłyszeli nocą głuszące żab krzekoty, siedzieli razem do dnia marząc o błotach i stawach, w których pieśni ich wieczornej w kraju się przysłuchiwali.

Karol wszystkie świetne ptaki, wszystkie drobne latające świecidełka, kwiaty wonią siejące do koła, myślą posyłał do Skały, na wianki, do klatek Ewusi.

Tam szły jego ciche westchnienia, a nic nie powracało — prócz jakiegoś groźnego milczenia.

Myślał często o domu, lękał się o swoich — ale się modlił i spodziewał, że u Boga wyprosi, by się nic nie zmieniło, nic nie ubyło do jego powrotu.

Wyobraźnia coraz wyraziściej teraz malowała mu stary dwór w Skale i wiedział co się tam o jakiej działo godzinie, żył z niemi sercem i duszą.

— Teraz poszli się modlić — teraz siadają do stołu, kapelan błogosławi, dziaduś powoli sunie ze swego pokoju, słychać laskę ojca stukającą o podłogę, i szelest sukienki.

Ale z tej umiłowanej Skały, od pożegnania z ojcem, nie było słychu ni wieści, listy naówczas szły jakby łaską, ciężko i powolnie, a ileż razy ginęły!

Nim jeszcze spodziewane potwierdzenie kongresu nadeszło, przybysze mieli czas rozpatrzeć się w krają i obozie.

Niespodziewany obrót wojny zmusił Washingtona opuścić okolicę pod Wilmingtown i pospieszać przeciwko generałowi Howe, który zdawał się zagrażać Filadelfii, stolicy kongresu.

Dowódzca ten tak wogóle nieszczęśliwy w swych obrotach strategicznych, tym razem miał jakąś pomyślniejszą natchnienia godzinę.

Stał on z siłami swoimi u brzegów Delawary, gdy w końcu lipca nagle opuściwszy New-York i ujście rzeki Hudson, gdzie wojska jego były rozłożone, rzucił się w stronę z początku niewiadomą, tak że obrotu jego celu odgadnąć było trudno.

Chwilowe powodzenie wojsk generała Burgoyne zachęciło go do śmielszego próbowania szczęścia.

Sądząc się dość silnym, by działać stanowczo, umyślił napaść niespodzianie na samo ognisko potęgi Amerykanów.

Zabrawszy z sobą kilkadziesiąt batalionów wojsk europejskich i nieco ochotnika amerykańskiego, rozłożył je, zostawiwszy około New-Yorku kilka tysięcy pod generałem Clintow, a drugie tyle w Rhode-Island. Siły te miały utrzymywać na wodzy Amerykanów, reszty zabrał na okręty Howe i odpłynął.

Długo mimo najtroskliwszych śledzeń, tajemnicą był dla Washingtona cel tej nagłej wyprawy, a wojnie tajemnica każda jest niebezpieczeństwem. Zapóźno może doniesiono mu o przeznaczeniu wojsk angielskich; nie tracąc więc chwili, potrzeba było zwijać obóz i posuwać się forsownym marszem w głąb Pensylwanii.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

III.
Miny.

Zaraz po obiedzie dano znać Dixmerowi, że notaryusz czeka go w gabinecie; wymówił się więc przed Maurycym, którego zresztą zwykł był podobnie opuszczać i poszedł rozmówić się z przybyłym.

Chodziło o kupno domu przy ulicy Corderie, naprzeciw ogrodu Temple, a raczej Dixmer kupował plac nie dom, bo sama budowla prawie już zagrażała upadkiem, ale miał on zamiar wznieść ją na nowo.

Nie długo też trwał targ z właścicielem, notaryusz widział się z nim rano i zgodził kupno za dziewiętnaście tysięcy pięćset lirów. Przyszedł teraz zabrać powyższą sumę i przyniósł umowę do podpisu; właściciel miał się wyprowadzić zupełnie tego samego jeszcze dnia, a nazajutrz miano tam posłać robotników.

Po podpisaniu umowy, Dixmer i Morand udali się natychmiast z notaryuszem na ulicę Corderie, dla obejrzenia nowej własności, kupili ją bowiem bez poprzedniego widzenia.

Był to dom położony tam prawie, gdzie jest dziś numer 20, mający trzy piętra wysokości, a zakończony poddaszem. Dół zajmował niegdyś kupiec wina, bo były tam doskonałe piwnice. Właściciel wychwalał mianowicie te piwnice, jako najznakomitszą część domu; Dixmer i Morand mierny zdawali się przywiązywać do nich interes, a jednak niby przez grzeczność zeszli do owych tak zwanych przez właściciela podziemiów.

Przeciw zwyczajowi właścicieli ten nie kłamał; piwnice były przewyborne, jedna z nich rozciągała się nawet aż pod ulicę Corderie, i słyszano z niej turkot przejeżdżających po wierzchu powozów.

Dixmer i Morand niezbyt zdawali się cenić tę korzyść, mówili nawet, że każą zasypać piwnice, które wyborne dla kupca win, zupełnie zdawały się niepożytecznemi dla uczciwych mieszczan, zamierzających zająć cały dom.

Następnie zwiedzili pierwsze, drugie i trzecie piętro; z trzeciego widać było zupełnie ogród w temple; który jak zwykle zajmowali narodowi gwardziści, używający w nim rozrywki od czasu, jak królowa zaniechała odbywania tam przechadzek.

Dixmer i Morand poznali swą przyjaciółkę, wdowę Plumeau, z zwykłą gorliwością czyniącą honory swej chatki; lecz zapewne nie chcieli być nawzajem poznani, bo skryli się za właściciela, który zwracał ich uwagę na korzyści tego równie urozmaiconego jak przyjemnego widoku.

Natenczas nabywca zażądał obejrzeć poddasze.

Właściciel nie spodziewał się zapewne tego żądania, bo nie miał przy sobie klucza; ale zmiękczony pokazaną sobie paczką asygnatów, poszedł natychmiast poszukać go.

— Nie omyliłem się — rzekł Morand — dom ten doskonale dopomoże nam do naszego interesu.

— A cóż powiadasz o piwnicy?

— Że to chyba Opatrzność zsyła nam ją na pomoc, abyśmy oszczędzili sobie przynajmniej ze dwa dni pracy.

— Czy sądzisz, że ona znajduje się w kierunku piwnicy pod chatką?

— Zwraca się nieco na bok, ale mniejsza o to.

— Ale — spytał Dixmer — jakże potrafisz pod ziemią tak się pokierować, abyś mógł dostać się tam, gdzie chcesz?

— Bądź spokojny, kochany przyjacielu i zostaw mi to zupełnie.

— Gdybyśmy mogli dać ztąd jaki znak, że czuwamy?

— Kiedy nie wiem, czy królowa z wieży będzie go mogła dostrzedz, bo zdaje mi się, że pod-

dasze dopiero znajduje się na równi z wieżą, a i o tem nawet wątpię.

— Nic nie szkodzi — rzekł Dixmer — Taulan albo Mauny mogą go dostrzedz przez jaki otwór i uprzedzą Jej Królewską Mość.

To mówiąc Dixmer zrobił dwa węzły na białej kartonowej rolecie, którą wysunął za okno tak, iżby zdawało się, że wiatr umyślnie ją wypchnął.

Potem obaj, jakby niecierpliwie pragnący zwiedzić poddasze wyszli na schody oczekiwać właściciela, poprzednio zamknąwszy drzwi na trzeciem piętrze, aby poczciwcowi nie przyszła myśl wciągnięcia do pokoju powiewającej rolety.

Jak przewidział Morand poddasze nie dosięgało jeszcze wysokości wierzchołka wieży. Była to zarazem korzyść i trudność; trudność, ponieważ nie można było znosić się z królową za pomocą znaków; korzyść, ponieważ to niepodobieństwo usuwało wszelkie podejrzenie, a na wysokie domy naturalnie największą wówczas zwracano uwagę.

— Trzebaby za pośrednictwem Mauny, Toulan'a lub córki Tison'a znaleźć sposób doniesienia - jej, aby się miała na baczności, szepnął Dixmer.

— Pomyślę o tem — odpowiedział Morand. Zeszli na dół.

Notaryusz czekał w salonie z podpisaną umową.

— Wszystko dobrze — powiedział Dixmer — dom ten podoba mi się, proszę wyliczyć obywatelowi należne mu dziewiętnaście tysięcy pięćset lirów i niech nas pokwituje.

Właściciel porachował skrupulatnie tę sumę i podpisał.

— Wiadomo ci, obywatelu — rzekł Dixmer — że głównym warunkiem umowy jest, aby dom był mi oddany tego jeszcze wieczoru, iżbym zaraz jutro mógł tu przysłać mych robotników.

— Dopełnię niezawodnie tego warunku, obywatelu; możesz zabrać z sobą klucze; a dziś o godzinie ósmej dom będzie zupełnie wolny.

— Ah! przepraszam — dodał Dixmer — podobno mówiłeś mi obywatelu notaryuszu, że tu jest drugie wyjście na ulicę Portefoin?

— Tak jest, obywatelu — odpowiedział właściciel — ale kazałem je zamurować, bo mam tylko jednego oficyalistę, nie chciałem więc tego biedaka zbyt utrudzać czuwaniem przy obu wyjściach. Zresztą, potrzeba tylko parę godzin pracy a wyjście będzie znowu otwarte. Czy chcecie przekonać się o tem obywatele.

— Nie, nie, dziękujemy — przerwał Dixmer — ja nie przywięzuję żadnej wagi do tego wyjścia.

I wyszli obaj przypomniawszy właścicielowi po raz trzeci obietnicę wyprowadzenia się z domu przed godziną ósmą wieczorem.

O godzinie dziewiątej wrócili znowu a za nimi szło w niejakiej odległości kilku ludzi, na których wśród panującego w Paryżu zamięszania, nikt nie zwracał uwagi.

Najprzód weszli tylko sami; właściciel dotrzymał słowa, dom był zupełnie próżny. Jak najstaranniej pozamykali okiennice; skrzesali ognia i zapalili świece, które Morand przyniósł w kieszeni.

Potem weszli jeden po drugim wspomnieni wyżej ludzie. Byli to zwykli biesiadnicy pana garbarza, ci sami przemytnicy, co to pewnego wieczoru chcieli zabić Maurycego, a później stali się jego przyjaciołmi.

Pozamykali drzwi i zeszli do piwnicy.

Piwnica ta, tyle pogardzana w dzień, stała się wieczorem zbyt ważną częścią domu. Słychać było, jak to słusznie twierdził poprzedni właściciel, turkot powozów przejeżdżających nad głowami, co dowodziło, że znajdują się istotnie pod ulicą.

Naprzód pozatykano wszelkie otwory któremby wzrok ciekawego mógł się dostać do środka. Potem Morand szybko postawił próżną beczkę, i położywszy na niej papier zaczął kreślić geometryczne figury.

Podczas gdy to czynił, towarzysze jego pod przewodnictwem Dixmera, wyszli z domu, przebyli ulicę Corderie i na rogu ulicy de Beause spotkali otwarty wóz.

We wozie znajdował się jakiś człowiek, który jak najciszej rozdał każdemu z nich pionierskie narzędzie: jednemu dał rydel, drugiemu motykę, trzeciemu lewar itp., każdy schował otrzymane narzędzie pod swą kapotę, lub płaszcz, i znowu wszyscy poszli w kierunku kupionego domu, a wóz odjechał.

Morand skończywszy swą pracę, poszedł prosto w róg piwnicy.

— Tu wydrążajcie — rzekł.

I rzemieślnicy oswobodzenia natychmiast wzięli się do dzieła.

Położenie uwięzionych w Temple stawało się coraz przykrzejszem, a mianowicie coraz boleśniejszem.

Na chwilę królowa, księżna Elżbieta i królewska córka powzięły były jakąś nadzieję.

Urzędnicy Toulan i Lepitre, zdjęci politowaniem dla dostojnych więźni, objawili im swe współczucie.

Z razu, nieszczęśliwe te kobiety nie nawykłe do podobnych oznak sympatyi, niedowierzały im. Z resztą cóż już spotkać miało królowę, rozdzieloną z synem przez więzienie, a z mężem przez śmierć? Zginąć na rusztowaniu jak on, był to los, któremu oddawna w oczy patrzyła, do którego nakoniec przywykła.

Za pierwszym więc razem nadejścia kolei Toulan'a i Lepitr'a, królowa spytała ich, czy prawda że zajmują się jej losem i prosiła aby jej opowiedzieli szczegóły śmierci króla.

Smutna zaiste próba ich sympatyi! Lepitre obecnym był egzekucyi, usłuchał więc rozkazu królowej.

Królowa zarządała dzienników donoszących o egzekucyi. Lepitre przyrzekł, że przyniesie je przyszłym razem, miało to zaś nastąpić dopiero za trzy tygodnie.

Za czasów króla znajdowało się w Temple czterech urzędników. Po jego śmierci już ich było tylko trzech; jeden czuwał w dzień, dwaj drudzy w nocy.

Toulan i Lepitre przez rozmaite podstępy potrafili zawsze razem być na straży. Godziny straży wyciągano losem; na jednej kartce napisano dzień, a na dwóch drugich noc. Każdy wyjmował swoją kartkę z kapelusza; los więc dobierał czuwających w nocy.

Za każdym razem ilekroć Lepitre i Toulan byli na służbie, pisali dzień na wszystkich trzech kartkach i włożyli je w kapelusz, podawali urzędnikowi którego usunąć pragnęli. Ten wkładał rękę do tej improwizowanej urny, i koniecznie wyjmował wyraz dzień.

Toulan i Lepitre niszczyli zaraz obie pozostałe kartki, szemrząc na los, który ich zawsze na najnudniejszą bo w nocy odbywaną pańszczyznę przeznaczał.

Kiedy królowa była już pewną obu swych nadzorców, zaleciła im aby zawiązali stosunki z kawalerem de Maison-Rouge.

Wówczas to ułożono zamiar ucieczki.

Królowa i księżna Elżbieta miały uciekać przebrane za oficerów municypalnych, i opatrzone w stosowne świadectwa. Dzieci zaś, to jest królewska córka i młody Delfin, ponieważ podobne były do dzieci jednego z illuminatorów w Temple, które miały prawie równe lata z niemi, postanowiono więc że Turgy, o którym jeszcze nie wspomnieliśmy, przebrany za illuminatora wyprowadzi je z sobą.

Kilka słów, kto był ów Turgy.

Turgy był to dawniej chłopak posługujący królowi, sprowadzony do Temple z Tuilleries wraz z kilku innemi sługami króla, gdyż z razu monarcha ten miał tam dosyć porządną usługę i stół. W pierwszych miesiącach, na utrzymanie tej służby naród wydał trzydzieści do czterdziestu tysięcy franków.

Łatwo pojąć że podobna rozrzutność długo trwać nie mogła. Gmina więc zajęła się zaprowadzeniem oszczędności i oddaliła kuchmistrza, kucharzy i kuchcików, zostawując tylko chłopaka do posług, którym był Turgy.

Był on zatem bardzo naturalnym pośrednikiem między uwięzionemi a ich stronnikami, mógł bowiem wychodzić, a tem samem przynosić listy i odnosić odpowiedzi.

Zwykle listy te owinięte były na korkach od butelek, w których przynoszono orszadę dla królowej i księżnej Elżbiety. Pisane zaś były cytrynowym sokiem, litery więc można było dostrzedz dopiero po zbliżeniu ich do ognia.

Wszystko więc przygotowano do ucieczki, gdy raz Tison zapalając fajkę papierem zdjętym z korka, dostrzegł litery, w miarę jak się tlił papier, zagasił go więc natychmiast i urywek zaniósł radzie w Temple.

Tam zbliżono go do ognia, ale wyczytano tylko kilka wyrazów bez związku; bo druga część papieru już zupełnie zamieniła się w popiół. Poznano jednak rękę królowej.

Wybadywany Tison oświadczył że dostrzegł, iż Lepitre i Toulan zbyt są uprzejmi dla uwięzionych.

Denuncyowano więc municypalności obu tych urzędników i odtąd nie pokazali się już więcej w Temple. Pozostał sam tylko Turgy.

Ale niedowierzanie wzrosło do największego stopnia; nie zostawiano go nigdy sam na sam z uwięzionemi. Wszelka zatem komunikacya na zewnątrz stała się niepodobną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Zrobiło się Wolskiemu smutno — lecz odmówić pomocy było zapóźno, po konferencyi uczułby to podejrzliwy chory. Wolski postanowił uwolnić się po miesiącu.

Tymczasem pojechał do domu, aby rozporządzić przeniesieniem dziecięcia i wracać do radzcy.

U Lieschen zastał czekającego na siebie garbusa i Cyliusa.

Smutna jego twarz zastanowiła obu.

— Co ci jest? — zapytał garbus.

— Zamiast lekarskich obowiązków nastręczyłeś mnie za grabarza — odezwał się Wolski — ten człowiek nie będzie żył.

— Choćby i tak było — odparł garbus — więc dlatego, że jest tak źle, masz mu odmówić pomocy, która mu w ostatnich chwilach ulgę przyniesie?

W ten sposób dostał się Wolski do pana radzcy.

Nazajutrz nastąpiły przenosiny do hotelu Lischen, niańki i całego gospodarstwa. Doktor wstąpił w obowiązki swe, a nie była to sine cura. Cały niemal dzień musiał być na zawołanie. Radzca się gniewał i niecierpliwił o lada co, trzeba było przyczyny usuwać, a wybuchy tamować.

Powaga, łagodność i spokój Wolskiego, przymioty, których go żywot małżeński z Helmą wyuczył, jego zimna krew i cierpliwość teraz mu się bardzo przydały.

Radzca był w gruncie dobrym i zacnym, ale do najwyższego stopnia chorobą swą roznerwowanym.

Nerwy popsutego organu oddziaływały na wszystkie inne.

Wolski musiał nieustannie mocą ducha oddziaływać na ciało, bo same środki lekarskie nie starczyły.

Rzeczą jest niezawodną, że poprzedzającemu swojemu nowicyatowi zawdzięczał Wolski to, iż w teraźniejszem położeniu wyższym ciągle będąc nad nie mógł wytrwać.

Radzca nie mógł się wydziwić cierpliwości i niezamąconemu pokojowi ducha lekarza.

Drugiego czy trzeciego dnia, wiedząc już o pokrewieństwie i jakby wyczekując podstępnie na to, aby się Wolski sam z niem odezwał, radzca nie doczekawszy się (bo Wolski najmocniej sobie postanowił nie dotykać wcale tego przedmiotu) zaczepił go o pochodzenie matki.

Doktor zbył go krótką odpowiedzią.

Wieczorami nudząc się, a po petersbursku przyzwyczajonym będąc do whista, radzca zaprosił garbusa, hrabiego Ł.— i Wolskiego na parę robrów.

Bawiono go rozmową i zapewne w jednej z tych gawędek z Wojtusiem musiał się Nietyksza dowiedzieć całej historyi swego doktora od skoczenia do Szprewy aż do wyskoczenia z domu pana Radzcy von Riebe.

Opowiadanie to sprawiło na chorym wielkie wrażenie, nie lubił bowiem Niemców, jak ich tam nie cierpią nad Newą, a skutkiem powieści sympatyczniej jeszcze spoglądał na Wolskiego.

Nazajutrz uparł się zobaczyć Lieschen i kazał ją posadzić do stołu.

Nie bardzo lubił dzieci, lecz że ta była wesoła — a Wolski szczęśliwszy z nią, radzca znajdował ją śliczną i miłą.

Zagadnął potem Wolskiego o jego stosunki rodzinne, ale ten zmilczał i prosił go, aby tej bolesnej nie dotykać strony.

Choroba biedaka widocznie coraz się stawała groźniejszą — ale dzięki staraniom doktora, który czuwał nad nim ze szczególną pieczołowitością, nie cierpiał tak bardzo.

Przyznawał sam, że to był winien wielce taktownemu postępowaniu swojego stróża, więcej niż lekarstwom.

Wolski też pilnował dyety... i nie dawał mu sobie uszkodzić w niczem.

Miesiąc się zbliżał do końca, doktor radby był się oddalić, lecz chory mówić o tem nie dawał, a Wolski przywiązał się do skazanego.

Zżyli się z sobą — obu było znośnie.

O warunki żadne nie umawiał się doktor i wręcz przystał na takie, jakie radzca sam postanowi.

Na tem się skończyło.

W drugim już miesiącu przyszedł jakiś list z Petersburga w czasie chwilowego oddalenia się Wolskiego.

Służący, który nań czatował — dał mu znać na wschodach, iż stan się pogorszył nagle — skutkiem jakiegoś zmartwienia i że pan był bardzo zły.

Wbiegłszy znalazł go Wolski w rozdrażnieniu nie do opisania i w gorączce. Nieszczęsny list leżał jeszcze na stoliku — ale, zobaczywszy wchodzącego, radzca ścisnął go w dłoń i z pasyą w komin rzucił.

Gdy Wolski przypadł doń i pochwycił za rękę, spostrzegł, że cios ten mógł życiu zagrażać. Chory zwykle gderliwy z zaciśniętemi usty nie mówił nic — żądał notaryusza.

Próżno go się starał uspokoić Wolski, musiano żądaniu dogodzić, próżno mu przedstawiał, że w tym stanie jakiekolwiek zajęcie byłoby wysilającem, niebezpiecznem.

Chory na kilka godzin zamknął się z przybyłym urzędnikiem.

Po wyjściu jego dopiero wezwano Wolskiego. Potrzeba było czegoś uspokajającego, potem kąpieli, snu i wytchnienia.

Wszystko to wykonano.

Znacznie lepiej się czując radzca położył się spać. — Wolski rzucił się w drugim pokoju na kanapę i drzemał — chciał być w pogotowiu — jeśliby w nocy co zaszło.

Nad ranem obudził go jęk — pobiegł i znalazł chorego już konającym.

Posłano po innych lekarzy, użyto wszelkich środków — nazajutrz skonał biedny. W ostatnich chwilach miał tyle przytomności, że czule podziękował Wolskiemu za starania i, nie mogąc mówić wiele, parę razy po cichu powtórzył:

— Testament...

Śmierć ta uczyniła na Wolskim przykre nader wrażenie.

Zatelegrafowano natychmiast do siostry zmarłego do Petersburga, a tymczasem opieczętowano mieszkanie, Wolski zaś wyniósł się zaraz znowu na swe pierwsze piętro obok Cyliusa.

Spodziewał się z wyrazów nieboszczyka jakiegoś wynagrodzenia za pracę, bo oprócz kosztów utrzymania nic nie otrzymał i o nic się nie upominał, lecz nadzieja ta była bardzo skromna.

Za przybyciem siostry i otwarciem testamentu okazało się, że cały swój kapitał wywieziony z kraju i złożony w banku, wynoszący bajeczną sumę pół miliona rubli, zapisał Wolskiemu a dom jaki miał w stolicy — siostrze. — Zapis był uczyniony z pobudki pokrewieństwa i z warunkiem, aby Wolski macierzyńskie nazwisko do swojego przyłączył.

Wiadomości tej zrazu, gdy mu ją przyniesiono, Wolski uwierzyć nie chciał, lecz przekonać mu się było łatwo, iż rzeczywiście z dnia na dzień został bogatszym od radzcy von Riebe.

Cieszyło go to dla Liski i ją pierwszą uściskał z uśmiechem szczęścia... ze łzą w oku, myśląc o niespodzianym legacie biednego radzcy. Było w nim coś tajemniczego, bo list spalony i gniew naprowadził na myśl, że nie tyle z miłości dla Wolskiego, jak z wstrętu ku reszcie rodziny w ten sposób majątkiem rozporządził.

Z wielką radością dowiedział się o tem profesor Cylius, garbus i wszyscy przyjaciele Wolskiego.

Tegoż dnia posłyszał o tem pastor i zdało mu się, że z obowiązku pokrewieństwa powinien był pierwszy tę nowinę u radzców von Riebe zwiastować.

Szanowny radzca komercyjny zawsze jeszcze trwał w tem przekonaniu, iż oddalenie się Wolskiego było zasadzką i że w końcu sam będzie musiał przyjść układać się o jakąś zgodę. Nie dozwolił więc nikomu uczynić kroku, a codziennie po obiedzie na Polaków stare anegdotki wywlekał i mścił się na nich za Wolskiego.

Dostawało się tam narodowi, jak się nieraz i z trybuny parlamentu kulturtregerskiego z dziwną słodyczą i taktem słyszeć daje.

Helma milczała — nie smakowała w trywialnych ekspektoracyach rodzica, ale miała inne z nieco wybrańszych autorów, Arndt'a, Heinego i Freitaga na swoją potrzebę.

Powtarzało się to niemal co dnia.

Dr. Arnheim, który znowu zaczął bywać i przesiadywać po całych dniach na drugiem piętrze, czerpiąc z nauk przyrodniczych, z etnologii, z historyozofii i z różnych uczonych komórek, przekonywał także baronową, że plemię słowiańskie całe było predestynowane, aby się stało pastwą i sztuką mięsa dla Germanów, że to tylko kwestya czasu, a co się tyczy Polski — we dwojga z Rosyą Prusy w krótkim przeciągu czasu tak ją zjedzą, jak zjadły Słowian rugijskich i Pomorzan.

W całym domu było to wyznaniem wiary. — I tak spokojnie dni płynęły w oczekiwaniu skruchy Wolskiego i jego pokuty.

Helma utrzymywała w dodatku, że jako lekarz na chleb sobie nie potrafi zarobić, że z głodu mrzeć będzie lub żebrać. Czasem wzdychała za Liską.

Jednego wieczora na drugiem piętrze czytano nowy poemat Juliusza Grosse, z którym dr. Arnheim był w wielkiej przyjaźni i stawiał go niemal na równi z Goethem. Helma słuchała... matka, która u niej była, robiła pończochę i zdawała się myśleć wcale o czem innem, a nie o przygodach pięknej Semrudy i Fallallacea — gdy w najpatetyczniejszem miejscu,

Des Menschen Seele und Gedanken
Umspannen weit der Schöpfung Raum,
Die Formen wechseln nur, die schwanken,
Denn alles Leben ist nur Traum!!

otwierają się drzwi i radzca, który ledwie dwa razy w rok bywał na drugiem piętrze, staje w nich ze zgasłem cygarem w ręku.

Wszyscy zamilkli... patrzą...

Jak wkuty do progu stał radzca von Riebe, na twarzy jego drgało jakieś wrażenie nie do wyczytania.

Staruszka rzuciwszy pończochę, wstała sądząc, że dostanie burę za swą nieobecność na dole. Radzca stał nie mogąc przemówić słowa. Zdumienie powszechne.

Dr. Arnheim poemat położywszy na stoliku, zbliżył się doń witając go z uszanowaniem, radzca nie spojrzał nań i ledwie mu głową kiwnął.

Suwając nogami powoli doszedł do fotelu i padł stękając.

Widocznem było, że coś mu ciężyło na piersi i na głowie takiem brzemieniem, że obecna rodzina nie wchodziła w rachunek.

Machinalnie przywlókł się tylko.

Helma wysunąwszy się z za stołu podeszła ku ojcu, spostrzegłszy cygaro zagasłe i podała mu ogień.

Dopiero oprzytomniawszy Riebe zapalił cygaro, pociągnął i zniecierpliwiony cisnął je o ziemię.

Widocznie coś mu się stało — myśleli wszyscy.

Z trwogą zaczęła przypuszczać Helma i sama radzczyni, że się chyba fatalnie na giełdzie musiał oślizgnąć.

Nie śmiano go już pytać.

Dr. Arnheim dobył cygarówkę i podał wyschłe, doskonałe cygaro ofiarowane mu przez jednego z przyjaciół — gründerów. Machinalnie przyjął je radzca, odkąsił, zapalił, pociągnął i westchnął.

Było to westchnienie wielbłąda, z którego juki składają.

Potem klnął ale niewyraźnie.

Wszyscy nań patrzeli, słuchali, czekali i milczenie straszne, przedburzne panowało w salonie. Pociągnął jeszcze raz i klnął raz jeszcze. Pięścią stuknął o poręcz krzesła i wstał.

Za trzecim razem — Der verfluchte Pole! wyrwało mu się tak wyraźnie, że tajemnica do połowy była odsłoniona.

Helma zbladła — nie umiała się domyśleć, co nowego popełnił jej dawny mąż.

— Hören sie mal! począł nagle radzca, tylko co był pastor z nowiną na dole... Ein Märchen! unglaublich... Baronowi Wolskiemu umierający krewny zapisał pół miliona talarów.

Wszyscy porwali się z krzeseł — Helma podbiegła do ojca.

— Ale możesz to być? możesz to być?

— Jak mnie widzicie żywego!... Gotówką w banku!

Radzca obie ręce przed siebie wyciągnął.

— Nie — rzekł — nie — ja nigdy nie pochwalałem tego z nim postępowania. Tego sobie do wyrzucenia nie mam, abym się przyłożył do zrywania z nim, zawsze byłem za zgodą, ale z wami, babami, tak zawsze.

Osłupieli wszyscy, nikt jednak nie ośmielił się zaprzeczać.

— To nie był tak zły człowiek... ja zawsze mówiłem; jedyna jego wada, że Polak i miał naturę tę słowiańską — gnuśną — nieznośną, — ale serce dobre... serce przedziwne i charakter szlachetny. Wiele on razy mógł mnie udrzeć a nie udarł.

Wśród powszechnego milczenia radzca zamyślony po pokoju się przechadzał.

Owo pół miliona nakazywało zwrot konieczny, bądź co bądź. Należało się przejednać. Prawda ta stawała z niemiecką oczywistością swą w oczach wszystkiem. — W obec tego pół miliona nikły wszelkie inne względy. Radzca już myślał tylko, jaki temu obrót nadać należało. Pastor mógł służyć na narzędzie przygotowawcze, Cylius... wreszcie Helma... niepodobieństwem było, ażeby ona nie zachowała władzy swej nad mężem, a Fryc i Emil, dzieci. Radzca nie tracił nadziei, że pojednanie musi nastąpić i że on je doprowadzi do skutku. Rachował już, jakie połączenie dwóch fortun znacznych przynieść może korzyści — milion talarów uśmiechał się w bengalskiem świetle na niebiosach jego ideałów.

Dr. Arnheim przekonawszy się, że czytanie dalszych przygód pięknej Semrady tego dnia już

nie przyjdzie do skutku — złożył ksiażkę i zabierał się do wyjścia. Nikt go nie powstrzymywał, nikt nie odprowadzał, nawet oczy Helmy nie poszły za nim, wszyscy jeszcze rażeni tą nowiną siedzieli, stali jak posągi zadumane.

Gdy się drzwi zamknęły za nim, Helma odważyła się usta otworzyć.

— Ale, kochany ojcze — odezwała się — kochany ojcze — ja winy tych wypadków, które mnie najboleśniej dotknęły, wziąść na siebie nie mogę. — Ja czuję się zupełnie niewinną.

— A któż winien? ja? ja? — gwałtownie wybuchnął radzca — a któż go tak przyjął powracającego, że musiał z domu uciekać nocą? hę?

— Któż go pierwszy doprowadził do tego rozdrażnienia małym rachunkiem krawieckim? — podchwyciła Helma.

— Jakim? gdzie? co? jabym był rachunek zapłacił. — To był Spass! głupi Polak żartu nie zrozumiał, do kogoż to należało jeśli nie do żony wytłómaczyć mu i uspokoić? Ale nie, jątrzyłaś go — jątrzyłaś — aż do ostateczności doszło i do kata — (chciał powiedzieć — klizmu, ale mu się język splątał, nie był pewien, czy klizmu czy plazmu, czy grafii dodać należało) pociągnął z cygara dymu.

— Zawsze powtarzam, to nie był zły człowiek! A któż mego biednego Hänschena z wody wyciągnął? Prawda, że to tylko dwadzieścia kilka tysięcy talarów kosztowało i na nic się nie zdało, gdy nie miał żyć, ale intencyą miał szlachetną.

— Teraz — dodał radzca — kto popsuł, ten naprawić powinien... ty Helmo... tak — ty — trzeba go przeprosić.

Kobieta się oburzyła.

— Nigdy w świecie!

— Tu idzie o los dzieci. Pół miliona talarów...

Helma przeszła się po salonie gwałtownie poruszona.

— Jakże wy tego nie widzicie, mój ojcze — zawołała stając nagle, że to wszystko jest kłamstwem i intrygą, że oni puścili tę wieść, aby nas upokorzyć i zmusić do uczynienia pierwszego kroku.

— Pastor! nie może być w spisku — Unsinn!

— Pastor jest człowiekiem dobrej wiary, użyto go bez jego wiedzy. Gdzież to kto na świecie słyszał, aby nieznajomy ubogiemu zapisał taką sumę.

Radzca się mocno zadumał.

— Mnie się to samemu wydało bajką... lecz — pastor — Cylius.

— Ale oni wszystkich okłamać mogą — przerwała Helma.

— Tak! masz rozum — należy być bardzo ostrożnym... — Zasadzka! może być zasadzka... czekać trzeba i pilnie mieć oko. Moglibyśmy być skompromitowani.

Wiara tem łatwiej została zachwianą, iż radzca nie mógł nigdy zrozumieć darowizny sumy tak znacznej — z dobrej woli... nieznajomemu.

— No tak! — mruknął zadumany na wpół sam do siebie — a — a — gdyby to było prawdą? gdyby... Nie zaprzeczysz, — rzekł zwracając się do córki — naówczas obowiązkiem twoim jest pojednać się z nim. Polak nie Polak, pół miliona talarów dla dzieci. Synów byśmy tak pokierowali przy ich baronostwie, że jeden byłby Moltkiem a drugi Bismarkiem... Chłopcy zdatne! Albo my to Podbielskich i Leszczyńskich nie mamy na wysokich stopniach...

W chłopcach już ani żyłki polskiej nie ma, Prusaki czystej wody. Fryca nauczyłem verfluchte Pole, i ani się zająknie...

Wśród mowy zadumał się nagle i zamilkł. Helma tryumfowała nieco.

Jej się ta zmiana losu nie mogła nigdy w głowie pomieścić... wierzyła w polskie machiawelstwo i intrygę.

Do późnej nocy rozprawiając o tem, rozeszli się wreszcie, od dnia następującego oczekując albo potwierdzenia lub obalenia dziwnej powieści.

Radzca nie mógł spać dobrze, chrapanie własne jak głos sumienia go obudziło, wstał raniej niż zwykle, tak że kawy jeszcze nawet gotowej nie znalazł. Chłopiec od piekarza, który z rana bułki świeże przynosił, jeszcze się nie zjawił. — Zaledwie posiliwszy się nieco, że dzień był mglisty, opatrzony w parasol puścił się do miasta. Nie widząc dokąd, postanowił pójść do Cyliusa, którego trochę znając a powołując się na pastora — łatwo od niego mógł o czemś się dowiedzieć.

Godzina była, w której profesor nigdy prawie nie przyjmował — śniadał i czytał a studyował.

Mały pokoik, w którym do południa przebywał, cały był ostawiony szafami pełnemi książek. Ogromny stół w pośrodku, którego zaledwie różek jeden był wolny, zajmowały także pisma peryodyczne, nowe publikacye i broszury. Do tego przybytku nie wpuszczano nikogo, bo tu dosyć było nieostrożnie potrącić książkę, aby sprawić nieład, który niełatwo dawał się naprawić. Radzca nie zapominając o tem, że emeryt miał predykat ekscelencyi — wszedł na palcach do przedpokoju nader skromnie i zastawszy tu służącą, która półbuciki doktora ze szczególnym szuwaksowała

afektem, ukłonił się jej, pozdrowił i prosił o audyencyą..

Sługa oświadczyła mu, że radzca nie przyjmował nigdy o tej godzinie — że jego Sprechstunden były po obiedzie. — W odpowiedzi na to Riebe popierając pięciu srebrnikami swą prośbę żądał tylko, aby bilet jego wręczyła radzcy, a na bilecie dopisał, że ma interes pilny.

Służąca ostrożnie postawiwszy but pański, którego połysk ją cieszył, zgodziła się na schowanie srebrników do kieszeni i na zaniesienie biletu.

Dr. Cylius zamyślony odczytał, skrzywił się mocno — zawołał zrazu:

— Nie ma mnie w domu! — ale po chwili szlafroczka i czapeczki poprawiwszy do saloniku wyszedł.

Salonik wyglądał staroświecko, zdobiły go dawne dary z czasów praktyki i profesury. Nie piękne to było — lecz czyściuchne i utrzymane starannie.

Był w jednym progu, gdy na drugim z pełnym słodyczy wyrazem zjawił się Riebe przepraszając, że śmiał ważne przerywać prace, i błagając o chwilkę posłuchania.

Siedli oba na kanapie. Radzca komercyjny spojrzał na radzcę zdrowia, a radzca zdrowia poglądał na radzcę komercyjnego. Milczenie było spowodowane tem, że radzca zdrowia nie wiedział, co mówić, a radzca komercyjny, jak powiedzieć to, z czem przyszedł.

Rozpoczęło się od grzeczności, po czem popełniwszy kilka grubych niedorzeczności w ubieganiu się za stylem wykwintnym, który mu się zdawał niezbędnym mówiąc z uczonym — radzca komercyjny wyłuszczył powód swojego przybycia — chciał wiedzieć, czy istotnie jego zięć, którego zawsze oceniać umiał — został spadkobiercą tak znacznego majątku?

Cylius się uśmiechnął.

— Rzecz najniezawodniejsza w świecie — odpowiedział wesoło — byłem przytomnym prawie czytaniu aktu, i ani legat ani suma złożona w banku nie ulegają najmniejszej wątpliwości.

Riebe się zamyślił.

— Gcdzien był tego ten człowiek szlachetny — odezwał się z głębokiem przejęciem — ubolewałem zawsze nad nieporozumieniem, jakie zaszło między córką moją, która tyle mu dała przywiązania dowodów, a tak zacnym ze wszech miar człowiekiem. Nie wątpię jednak, iż to się wszystko da jeszcze naprawić...

Cylius milczał.

Pytające wejrzenie, które nań rzucił radzca, pozostało bez odpowiedzi.

Chciał jeszcze Riebe przedłużyć rozmowę — gdy wniesiono dzienniki, doktor wziął je z niecierpliwą ciekawością do ręki, a radzca nie chcąc przeszkadzać, natychmiast go głębokim pożegnał ukłonem.

Wyszedł niezmiernie poruszony; służąca, jeszcze pracująca nad butem — otwarła mu drzwi z ukłonem...

Sporą przestrzeń drogi od mieszkania profesora do domu przebiegł radzca z pospiechem niezwykłym i nie zatrzymując się na pierwszem piętrze wprost, jak stał, udał się do córki. Tu wczorajsza rozprawa jeszcze się ciągnęła, — Helma trwała w swym sceptycyzmie...

— Otóż widzisz — zawołał odedrzwi — umyślnie chodziłem na Französische Strasse do Cyliusa. — Nie ma najmniejszej wątpliwości... pół miliona talarów... Jego ekscelencya, który mnie przyjął z nadzwyczajną uprzejmością w godzinie, w której nie przyjmuje nikogo, oświadczył mi, że był czytania aktu przytomnym. — Faktem jest, faktem niezbitym, iż odziedziczył!

Westchnął ciężko.

— Teraz do ciebie należy spełnić, co rozum i przywiązanie do dzieci nakazuje.

Helma stała milcząca.

— To zmienia całkowicie położenie — mówił radzca. — Siła kapitału jest siłą, która idzie także przed prawem, nad prawem a nawet na wylot prawa. Przed kapitałem każdy rozumny człowiek skłania głowę.

Radzca komercyjny mówiąc to, w istocie oddał pokłon niewidzialnemu bóstwu i westchnął.

— Zresztą wierzcie mi — dodał powtarzając westchnienie, to nie był zły człowiek, a obchodzono się z nim przyszorstko! Gdybyśmy byli mogli przewidzieć? Ale któż potrafi przyszłość odgadnąć.

Złożywszy ręce na piersi piękna Helma patrzała zamyślona w okno, nie odpowiadając długo.

— Co on o nas pomyśli, gdy my się teraz dopiero zbliżymy do niego? — zawołała cicho.

— Cóż ma myśleć? zrozumie to, że jego nowe położenie należycie przez ludzi rozmnych uwzględnionem być musiało i że ma ono zapewnione na przyszłość poszanowanie z naszej strony, zrozumie, iż teraz obchodzić się z nim będziemy jak z człowiekiem nam równym.

— To są przecież rzeczy jasne i naturatne.

— Mnie niepodobna zrobić ku niemu kroku pierwszego — odrzekła dumnie Helma — nie — nie mogę.

— Ku niemu nie potrzebujesz czynić żadnego kroku — odparł radzca z uśmiechem filuternym — ale masz córkę... Lischen jest przy nim! Stęskniona jesteś za dzieckiem, to tłómaczy wszystko — możesz przecie upomnieć się o swe prawo do dziecięcia.

— Tak długo nie upominając się o nie? — zapytała Helma.

— Właśnie — dodał radzca — im dłużej się nie upominałaś, tem powinnaś być więcej stęsknioną i krok twój staje się naturalniejszym.

— Ojciec ma słuszność — odezwała się babka — możesz pójść zobaczyć Lischen.. A! jabym tak chciała też ją widzieć.

— Ale waćpani nie idź — przerwał radzca — małżeństwo, gdy się godzi, nie powinno mieć świadków. — Każdy obcy, choćby matka nawet zawadą będzie.

Namyślała się Helma jeszcze...

Nie chcemy tłómaczyć charakteru tej kobiety, wypadki same dosyć go wyjaśniają Żyła ona głową więcej niż sercem, głową kochała i była istotą zimną, choć chwilowo uczucie wyrabiało się w niej z pomocą myśli. Przywiązanie jej dziwnego rodzaju rozpryskało się za najmniejszem trąceniem o miłość własną.

Wolskiego kochała niegdyś, znużył ją uległością może i pokorną rolą, którą odegrywał, upokarzał ją swą nicością

Ze wspomnień nie zostało w sercu nic — i ideałem teraz był dla niej dr. Arnheim. Wrócić do Wolskiego po tych przejściach upokorzoną, z wieczną obawą, aby znowu kruche węzły łączące ich nie pękły za lada targnięciem, nie miała wcale ochoty.

Na nalegania więc rodziców odpowiedziała milczeniem upartem a w ostatku prosiła o czas do namysłu.

Radzca uważał to za zwycięstwo.

Helma w istocie pragnęła sam na sam zasięgnąć rady dr. Arnheima, którego zwała swym „dostojnym przyjacielem“. Nie przyznała się do tego rodzicom, a może niezupełnie przed sobą wyspowiadała się nawet z celu i znaczenia tego kroku.

Dr. Arnheim tego dnia jednak przeciwko zwyczajowi swemu nie przyszedł wcale. Zdziwiło ją to trochę i dało do myślenia. Lękając się, aby i nazajutrz nie chybił, napisała na miejską pocztę do „dostojnego przyjaciela“.

Radzca tymczasem chodził niespokojny, i wcale był z córki niezadowolony.

Na oznaczoną godzinę dr. Arnheim nadszedł, lecz dziwnie jakoś sztywny i chłodny. Helma podała mu rękę. Z twarzy wyczytać mógł stan jej duszy.

— Przepraszam was, dostojny przyjacielu, żem was w imię tego świętego uczuciaprzyjaźni, które nas łączy, wezwała... — odezwała się Helma. — Chcę zasięgnąć twej rady. Znasz położenie żądają po mnie, abym zrobiła pierwszy krok do zgody, podała rękę temu człowiekowi, który mnie nigdy nie zrozumiał, nie ocenił i ocenić nie będzie w stanie. Każą mi to czynić dla dzieci, jak gdyby dzieci potrzebowały odemnie tej ofiary.

Dr. Arnheim przybrał postać nadzwyczaj poważną i składną — zasiadł jak sędzia trybunału. Helma mówiła, słuchał nie przerywając, przestała mówić, zdawał się jeszcze słuchać, czekać i rozważać, nie rychło zebrawszy się na odpowiedź.

— Naprzód — rzekł z profesorską powagą — naprzód należy mi wam podziękować za zaufanie, ale każecie mi profanowi w sprawach małżeńskich sądzić to, o czem nie mam wyobrażenia. Nie jestem wtajemniczonym... znam teoryą, uczyłem się historyi małżeństw — ale nie mogę się do tego przyznać, bym posiadał słowo zagadki. Nie wiem jak się kształtują stosunki serca i dłoni, charakterów i humorów. Jestem jak chemik, co się z książki uczył, a nie był nigdy w laboratoryum...

— To są wszystko piękne słowa — odezwała się Helma stając naprzeciw niego i patrząc mu w oczy znacząco — ale ja pragnę od was stanowczej rady! Znacie mnie i jego! mam-li szukać życia z nim znowu... i znosić dziwactwa? — Nie zgodzimyż się na to dziś, aby nazajutrz gorzej, bo na wieki zerwać z sobą? W takim razie nie lepiejże, gdy pozostaniemy, jak jesteśmy?

— Lecz tak przecież w tym stosunku wątpliwym nieokreślonym, który wkłada więzy, nie nagradzając ich niczem, pozostać na zawsze nie meżecie!

Helma spojrzała nań znowu i spytała:

— Dlaczego?

Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Życie nad stan.

Z oszczędności tworzą się kapitały.

Gdy wydajemy na nasze niezbędne potrzeby właśnie tyle, ile zarabiamy, gdy spożywamy doszczętnie owoce swej pracy — wówczas możemy żyć dostatnio, utrzymywać siebie i rodzinę na dość wysokiej stopie dobrobytu, ale nigdy nie będziemy materyalnie niezależnymi; lada niepowodzenie, lada przesilenie w naszem życiu prywatnem, a sztucznie zachowana, dzięki energicznej pracy i zabiegliwości, nieustająca równowaga narusza się, czego wynikiem, prawie zawsze — są długi.

Kto zacznie się przyglądać naszemu społeczeństwu, ten zapewne na pierwszy rzut oka dozna wrażenia, że na ogół jesteśmy zamożni.

Kto wydaje, naprzykład, rocznie 4 tysiące koron żyje skromnie, ten nieraz usiłuje sobie nadaremnie rozwiązać pytanie, w jaki sposób ludzie o takim samym, albo mniejszym dobrobycie, obarczeni w dodatku liczniejszą rodziną, są w stanie wystarczyć na to wszystko; przecież odziewają się dostatnio, urządzają święta zbytkownie, przyjmują wielu znajomych, wyjeżdżają na lato zagranicę itp.

Skąd oni biorą na to wszystko?

Zagadka ta daje się rozwiązać bardzo łatwo. Oto przeżywamy na ogół wszystko, co tylko zarobimy, do ostatniego grosza; gorzej nawet, bo najczęściej, nietylko wydajemy wszystkie zarobione pieniądze, ale zaciągamy długi.

Znaczna liczba ludzi, którzy prowadzą dom na przyzwoitej stopie, wydają trzy, cztery, a nawet pięć tysięcy koron rocznie, a jednak, czy uwierzycie? — ludzie ci nie mają nawet stu koron zaoszczędzonych, jak to mówią, „na czarną godzinę“.

Tak jest niestety! Niechno się zdarzy w takim domu dłuższa choroba, śmierć, jakieś zawikłanie pieniężne, natychmiast prawda wychodzi na wierzch, bo oto taki pan, którego nikt nie posądzał o brak kilkunastu, a nawet kilkuset koron, zwraca się w takich chwilach do przyjaciół, czy też do jakiegoś biura oszczędnościowego lub instytucyi kredytowej o pożyczkę; spłacenie jej przychodzi mu z wielką trudnością, bo raz ustanowiony źle i wadliwie budżet domowy, nie znosi płacenia, chociażby najmniejszych rat miesięcznych.

Nie potrzebujemy chyba tłómaczyć, że takie powszechne życie nad stan, z dnia na dzień, nie robienie żadnych, najmniejszych nawet oszczędności, kryje w sobie niebezpieczeństwo poważne, nietylko dla lekkomyślnych jednostek, ale i dla całego społeczeństwa. Niejeden brzydki postępek, stawiający człowieka ze sprzecznemi pojęciami o uczciwości i honorze, nie wyszedłby na świat, gdyby nie ta nieszczęsna nieoględność.

Naród ubogi, nie mogąc wydać na jakąś potrzebę natury społecznej paruset koron, zawsze będzie w rozwoju swym upośledzony wobec takiego, co posiada kapitały i może niemi rozporządzać w odpowiednich warunkach. Nie posiadając sami kapitałów, musimy obojętnie patrzeć na to, jak obce złoto napływa do nas i zamienia się na przedsiębiorstwa, wysysając odsetki z naszych kieszeni. Ostatecznie wynikiem tego jest stałe wypłacanie haraczu Niemcom i żydom przez nasze społeczeństwo.

Innemi słowy, jako ubożsi, pozwalamy bogatszym wyzyskiwać się.

Ale my oszczędzamy! — może kto zarzucić. W bankach naszych leżą miliony!

To prawda, lecz ilu wśród nas jest zadłużonych „po same uszy“. Może niejeden wśród nas trochę zaoszczędza, ale cóż, gdy przy nadarzającej się sposobności, jak np. przy chrzcinach, weselu, balach i t. p. dopóty hula, dopóki wszystkiego nie straci.

I tu wpływ kobiety powinien być decydujący. Ona powinna powstrzymywać męża od niepotrzebnych wydatków, stwarzając miłe gniazdko domowe, czyniąc je przyjemnem, zapobiegnie temu, by mąż unikał domu, włócząc się nocami po restauracyach, szukając rozrywek i przyjemności poza domem własnym. Wpływem swym może tu kobieta — odpowiednio wykształcona i wychowana, łagodna, a w razie potrzeby stanowcza — zdziałać bardzo wiele.

I ona sama wystrzegać się powinna życia nay stan. Bale i inne płoche rozrywki nie powinnd mieć w oczach jej pierwszeństwa przed obowiązkami domowymi, tak różnorakimi i trudnymi. Zdala od niej powinna trzymać się chęć błyszczenia przed znajomemi bogactwem strojów.

Ona, mając dzieci, powinna myśleć o ich przyszłości, a już za młodu potomstwu swemu wpajać powinna zasady zdrowej oszczędności, ucząc je, na co pieniądze wydawać można i należy, np. na cele dobroczynne, narodowe, na kształcenie, — a na co nie.

Każda kobieta powinna się stać pionierką idei oszczędności, najzaciętszą przeciwniczką życia z dnia na dzień, życia nad stan. Wówczas będzie zapewne nam lepiej, lepiej dzieciom naszym.

Oszczędzajmy, bo zaoszczędzony grosz daje nam cząstkę niezależności, broni przed różnemi zagmatwaniami i niejednokrotnie układami z sumieniem — zabezpiecza przyszłe pokolenia od spadnięcia na najniższe szczeble społeczne, a wreszcie podnosi rozwój i ukształcenie duchowe całego narodu.

Pogadanki wychowawcze.

I.

Ceniona na polu wychowawczym p. *Jadwiga Chrząszczewska* pisze w warszawskim „Tyg. Mód i Powieści:

„Tej, która bardzo mało umie“.

Tak podpisała się pod swoim listem jedna z matek, zapytując o radę, co ma robić, by dobrze wychować swe dziecko, i w jakich dziełach pedagogicznych mogłaby znaleźć wskazówki, ułatwiające jej to zadanie.

Przed taką matką chylimy czoło i odpowiadamy jej naprzód słowami Mikołaja Reja: „Nie ten jest mądrym, co wiele spraw umie, lecz co złe z dobrem rozeznać rozumie“.

A ona właśnie rozeznała owo złe... Zestawiła własne nieprzygotowanie, własną nieświadomość z zadaniem wielkiem, świętem, najważniejszem ze wszystkich, z zadaniem wychowania człowieka!

I przestraszyła się...

Zrozumiała, że do spełniania tego zadania przystępować należy nie tylko w pełnej świadomości jego wagi i znaczenia, ale i z uzdolnieniem możliwie najwyższem. Powiem więcej... Do spełnienia zadania wychowawcy potrzeba posiadać ową iskrę Bożą, którą, stosownie do jej siły i natężenia, nazywamy talentem lub geniuszem.

I tak samo, jak zjawia się talent muczyzny, malarski, poetycki, czy inny jaki, tak zjawia się i pedagogiczny.

Ale każdy talent, by najmniejszy, musi mieć podwaliny z wiedzy, inaczej owa iskra Boża nigdy płomieniem nie strzeli w górę i tlić się tylko zawsze będzie, lub zgaśnie szybko.

Pedagogika wymaga tem więcej głębokich a różnorodnych studyów, bo głębokiem i różnorodnem w tych objawach jest zadanie, jakie przed nią leży.

Tak więc owa mądra, choć uznająca swą nieświadomość matka nie zapomina o tem.

Pragnie ona dobrze wychować swe dziecko, ale nie wie, jak się wziąć do tego.

Czy wychować je jak sama była wychowaną? Nie. Dostrzega w sobie pewne braki czy nierówności, od których chciałaby ustrzedz własną dziecinę.

W jaki sposób to zrobić?

Uczyła się przecież wielu mniej lub więcej pożytecznych rzeczy, czytała wiele mniej lub więcej mądrych ksiąg... Tak... Ale to były tylko słowa... słowa... słowa...

Tej młodej dziewczynie, tej przyszłej matce mówiono również o wychowaniu... Ale tylko mówiono.. Zwiedziła ona nawet raz czy dwa razy żłobek jakiś i ochronę... Ale tylko zwiedziła.

A jej potrzeba było nie tyle słów, ile czynów, nie tyle teoryi, ile praktyki...

Potrzeba było „zakasać rękawy“ i choć przez rok jeden „stać przy warsztacie“, pomagać w pielęgnowaniu drobiazgu po wzorowych żłobkach i ochronach pod kierunkiem osób fachowo do tego przygotowanych. Potrzeba było poznawać dzieci! Wtedy praktyka byłaby wsparta teoryą, wtedy przekonałaby się, jak wygląda słowo w czyn zamienione.

Ale tego nie było.

I oto teraz ta młoda matka na progu pracy macierzyńskiej stoi bezradna.

Ma wychowywać dziecko, a nie zna dzieci. I oto potrzeba jej rady. Nie ogólnikowej, nie takiej „byle zbyć“, ale takiej, którąby „z zamkniętemi oczyma“ zastosować mogła.

Sprawa paląca... Maleńka istotka, przyszły człowiek, jest na świecie, a matka nie wie, jak go wychować.

I cóż tej matce powiedzieć można?

To jedno tylko:

Sztuki wychowania uczyć się trzeba.

Gotowych „recept“ pedagogicznych niema wcale, a to, co nawet za „pewnik“ uważamy w zastosowaniu zależnem jest od osobnika względem którego ów pewnik stosujemy.

Bo jak niema dwóch identycznie równych liści na jednem drzewie, tak niema na świecie dwojga identycznie równych dzieci, któreby jednakowo wychować można.

Co dziecko, to inny organizm fizyczny i duchowy, to inny podkład indywidualny, inne uzdolnienia... a więc inna metoda wychowania. Tę zaś tylko metodę można nazwać dobrą, która jest umiejętnie zastosowaną do natury wychowańca.

A zatem, młoda matko, teraz, kiedy twe dziecko już jest na świecie, trzeba się uczyć jak to dziecko wychować.

Od czego zacząć tę naukę? Od uświadomienia sobie naprzód dokładnie celu i zadania wychowania i od poznania materyału.

Potem dopiero trzeba będzie znaleźć i obmyślić środki do osiągnięcia celu.

Pierwsze Kółko włościańskie dla kobiet.

W poznańskim „Wielkopolaninie“ czytamy:

Dzień Wniebowstąpienia Pańskiego będzie dla parafii kościeskiej dniem pamiętnym, a może być wielkiej doniosłości dla całych Kujaw.

Otóż w dniu tym założono w parafii Kościeszki *Kółko włościańskie dla kobiet*, pierwsze na Kujawach, a bodaj jedyne dotąd w całym zaborze pruskim.

Inicyatywę do pożytecznego dzieła dała pani dr. *Zakrzewska* z Mierosławic, a gorliwie ją podjął i w czyn zamienił wielce dbały o dobro swych parafian i pełen energii proboszcz w Kościeszkach X. Adam *Józewicz.*

Sprawa miała przebieg następny:

Po majowem nabożeństwie zebrało się liczne grono gospodyń z parafii kościeskiej na salce parafialnej, — przybyło też kilka gospodarzy, aby się przysłuchać obradom. Przy stole prezydyalnym zasiadła p. dr. Zakrzewska z Mierosławic, X. prob. Józewicz, gość tegoż X. Daldrup z Dorsten w Westfalii, przybyły dla wydoskonalenia się w naszym języku, i bawiący w tych stronach red. „Wielkopolanina“ p. Walery Łebiński.

X. prob. Józewicz zagaił zebranie i pięknemi słowy wyjaśnił cel, dla którego się zgromadzono. Następnie przemówiła p. dr. Zakrzewska, rozwodząc się zrozumiale i z siłą przekonania o zadaniach kółek włościańskich dla kobiet. W pogawędce, która się po tych przemówieniach nawiązała, szczegółowo omawiano plan pracy.

Ks. prob. Józewicz podkreślił, że Kółko nietylko oświatowo ma oddziaływać, lecz przyczyniać się także do materyalnego dobrobytu, tak, jak oddziałują męskie Kółka włościańskie. Pani dr. Zakrzewska wskazała na to, że przez odpowiednie wykłady i pogadanki mogą się gospodynie pouczyć o racyonalnem sadownictwie, chowie drobiu, hygienie, wychowaniu dzieci i t. p.

Słowa tak ks. proboszcza, jak p. dr. Zakrzewskiej znalazły wdzięczne echo wśród słuchaczek. Przystąpiono zaraz do założenia Kółka. Wybrano na przewodniczącą panią Józefę *Żakowską* z Kościeszek, za wiceprzewodniczącą p. dr. *Zakrzewską* z Mierosławic, na sekretarkę p. *Nowakową* z Sierakowa, a na skarbniczkę p. *Wojewodzinę* również z Sierakowa. Postanowiono zapisać dla członków „Przodownicę“ prócz tego pisma fachowe i pouczające.

Pod koniec przemówił słów kilka p. Walery Łebiński, wyjaśniając, że nowozałożone Kółko jest niejako owocem zdrowego ruchu kobiecego, zmierzającego do uspołecznienia naszych Polek. Kółko dobrze prowadzone, stanie się niewątpliwie nietylko źródłem oświaty, lecz także łącznikiem pomiędzy dworem a chatą. Z łona zebranych serdecznie podziękowano ks. proboszczowi i p. dr. Zakrzewskiej za poczynione starania.

Dom i kuchnia.

Legumina z kaszki pszennej z jabłkami.

W kwarcie mleka z łyżką masła ugotować pół kwarty kaszki pszennej, dodawszy ćwierć f. cukru i skórki cytrynowej obdartej z jednej cytryny. Gdy kaszka ugotowana przestygnie, wbić 4 żółtka, dodać kilka gorzkich migdałów miałko utłuczonych i pianę z 4 białek. Oddzielnie 2 f. jabłek pokrajać jak do szarlotki ocukrzyć do smaku i niemi wyłożyć dno półmiska na którym się legumina piec będzie. Jabłka posypać jeszcze ćwierć f. rodzenków (koryntów) i na to dopiero wyłożyć wyżej opisaną kaszkę i w piec wsunąć, aby się dobrze zarumieniła, co potrwa około pół godziny.

Ryż z szynką.

Ośm łyżek dobrego ryżu przetłuc trochę, ogotować nierozgniatając, włożyć do rondla, dodając masła soli, pieprzu trochę białego, trochę sera parmezanu, małą szczyptę szafranu, wszystko to bardzo wymieszać. Formę lub rondel idący do pieca wysmarować masłem, wysypać tartą bułką i układać warstwę ryzu, parę kawałków szynki, znowu ryż, potem trochę posypać tartym ostrym serem i tak na przemian. Zasmażyć trochę masła z mąką, dodać nieco pomidorów gotowanych na masę, trochę mocnego bulionu, pokrajanych pieczarek, odgotowanych, soli i tem zalać ryż w rondlu, i niech przez godzinę powoli dusi się w piecyku.

Sałata z surowych selerów po francusku.

Seler niesparciały i w najlepszym gatunku, obrać i pokrajać w paseczki jak makaron, w ten sam sposób pokrajać jabłko winne, polać suto prowanską oliwą i winnym octem, osolić, opieprzyć, wymieszać i pozostawić godzinę lub dłużej, żeby się zmacerowała. Zamiast octu można użyć cytryny.

:: HUMORYSTYKA ::

Oszczędna.

— Janku, stanowczo musimy żyć skromniej więcej oszczędzać!

— Dobrze! Więc od dzisiaj zaczniemy.

— Zaczekaj do przyszłego tygodnia. Muszę kupić sobie dziś jeszcze nowy kapelusz!

Na wsi.

— No, Wicuś! cóżeś się tam nauczył w tych szkołach? hę? bąki zbijać? — Powiedzno mi, mój kochany, do jakich zwierząt zalicza się pies?

— Nie wiem, bo my, proszę pana, w drugiej klasie gimnazyalnej nie uczymy się jeszcze psychologii...

Troskliwa matka.

— W jakim kierunku pani dobrodziejka chciałaby kształcić swojego syna, — pytał znanej z interesowności damy, stary jej przyjaciel.

— Mnie o kierunek jego naukowy nie chodzi wcale, — odpowiada zapytana, — chciałabym go więc wykształcić tylko w kierunku bogatego ożenienia się.

Jeden pytał się przyjaciela swego: „Jak się masz? Żona zdrowa? Dzieci się chowają?“ — „Tak“ — odpowie — jak goście przyjdą, wszystkie się za piec chowają.

Nie boi się.

— Człowieku, siedź cicho, jeszcze pójdziesz pod dozór.

— Fraszki, bracie! Jestem 6 lat żonaty, tom się już do tego przyzwyczaił.

Uczeń szewski u rzeźnika.

— Proszę o kiełbasę, ale taką nieświeżą jak zeszłym razem.

— A dlaczegoż ma być taka?

— Bo majster powiedział: Jak jeszcze raz taką przyniesiesz, to ją sobie sam zjesz.

Słuszny powód.

Dama: Powiedz mi pan, skąd to pochodzi, że wy żonaci mężczyzni przychodzicie wprawdzie na bal z żonami, ale bardzo niechętnie tańczycie?

Małżonek: Bo to widzi pani, w domu dosyć tańczyć musimy, jak nam żona zaśpiewa, więc zanadto znużeni na bal przychodzimy.

W sądzie.

Sędzia ogłasza wyrok obwinionemu: Na 5 lat więzienia i pozbawienie praw. W tem odzywa się głos z publiczności: To za mało.

Rozgniewany sędzia spojrzał groźnie, mówiąc: Kto śmie się odzywać?

Na to mówi kobieta: Niech się pan nie gniewa, ja wiem najlepiej co on wart, bo to mój mąż.

Wywyższony.

— Ach, mamo, jestem już w wyższej klasie! — prawił rodzicom uradowany Karol, zresztą nie zbyt pilny uczeń.

— Jakżesz to przyszło? — zapytali się rodzice.

— Anu! odpowiada Karol, — w naszej klasie bielą ściany, dla tego przeniesiono nas na wyższe piętro.

Rzeczywiście.

— Nie uwierzysz, jakie ja mam z tem wszystkiem zmartwienie, ojciec życzy sobie, abym wyszła za Stasia, mama chce, abym wybrała Jasia...

— No a ty?

— Ja... wyszłabym za obydwóch!

Pewien pan, wracając do domu, zastaje swojego lokaja, zajadającego najlepsze ostrygi dla niego przyniesione. Rozgniewany taką bezczelnością sługi, woła:

— A wiesz ty, co się tobie należy!

— Wiem, proszę jaśnie pana! butelka wina do tego.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“
Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.